POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | Dnia 7-go sierpnia 1943r. | Rok V. Nr. 31

PO EXPOSÉ

Za pierwszy obowiązek uważamy kontynuować dalej dzieło Generała Sikorskiego i dopilnować, by praca jego i wysiłek nie poszły na marne, by jego wizja Polski mogła doczekać się rychłego urzeczywistnienia.

Ten obowiązek da się ująć w krótkich, następujących słowach: 1. walką z Niemcami, prowadzona wspólnie ze Sprzymierzonymi aż do zwycięskiego końca oraz 2. ścisła współpraca nad budowaniem i ugruntowaniem trwałego pokoju po wojnie.

Z Krajem jesteśmy w jak najbliższej łączności i zespoleniu. Jego zaufanie i pełnomocnictwa cenimy tak samo, jak jego życzenia i postulaty, które będą wytyczną w naszej pracy.

Przywiązujemy wielką wagę do akcji opieki nad licznymi rzeszami Polaków, którzy na skutek działań wojennych stracili swój dom i podstawę bytu. Chodzi tu o ocalenie żywej siły Narodu, tej najcenniejszej wartości każdego społeczeństwa.

W polityce zagranicznej zasadniczym naszym dążeniem jest utrzymanie i pogłębienie Wielkiego Aliansu. Dochowując lojalności i wierności, chcemy trwać w jednym szeregu z naszymi towarzyszami broni, dokładając wszystkich sił i energii dla wspólnego zwycięstwa. Pragniemy pogłębić naszą współpracę i przyjaźń z Wielką Brytanią i nadać jej formy stałe i niewzruszalne tak na dziś, jak i na przyszłość.

Wojna ta wykazała niezbicie po czyjej stronie leży słuszność, siła rzeczywista i moc, gdzie jest zdrowie moralne i potęga ducha. Kruszy się i chwieje kolos totalizmu, który miał wszystkie szanse zwycięstwa i całą przewagę materialną z wyjątkiem jednego, siły wewnętrznej i moralnej.

Z exposé Premiera St. Mikołajczyka

Po katastrofie gibraltarskiej, która okryła żałobą Kraj i Armię Polską na obczyźnie, każdy żołnierz polski patrzy z głęboką troską w przyszłość.

Żołnierz polski nie uprawia polityki, ale jest w pełni świadomym swych praw i obowiązków obywatelem. Jako żołnierz swoją drogę do Polski widzi poprzez perspektywę ciężkiej walki, poprzez trud codziennego wysiłku, ofiarę krwi i życia. Jako obywatel — pragnie Polski wielkiej i szczęśliwej dla wszystkich.

Cztery lata tułaczki wyzłociły mu w snach i marzeniach tę Polskę daleką, dla której danym mu jest pracować i bić się na ziemi, morzu i w powietrzu. Burza wojenna niesie z sobą grozy faktów, zdarzeń, katastrof, przełomów; ale nie obaliła ona nigdy w nas, żołnierzach, wiary w Polskę Nieśmiertelną, dla której żyli i umierali dziadowie i ojcowie nasi, o którą my dziś mamy honor walczyć, a w której nasze dzieci i wnuki znajdą prawo do życia i prawo do szczęścia.

Na ludzi, w rękach których spoczęła odpowiedzialność za nasz obecny dla Kraju dorobek, patrzy żołnierz polski poprzez swoją o Polsce wizję.

Na ich czoło wysuwa się obecnie postać nowego Premiera naszego Rządu.

* * *

Premier Stanisław Mikołajczyk urodził się 18.7.1901 roku w Westfalii, jako syn polskiej rodziny chłopskiej. Mając lat osiemnaście bierze udział w powstaniu wielkopolskim przeciwko Niemcom, jako ochotnik. W czasie wojny 1920 roku odbywa kampanię jako szeregowiec i zostaje ranny na polu bitwy. Rolnik z zawodu i zamiłowania, prowadzi współczesne gospodarstwo na pięćdziesięciu morgach w województwie Poznańskim.

W roku 1930 zostaje posłem na Sejm — w tym okresie pełni funkcje sekretarza Klubu Parlamentarnego Stronnictwa Ludowego. W pracy społecznej zajmuje stanowisko Prezesa Wielkopolskiego Towarzystwa Kółek Rolniczych.

W roku 1937, w czasie strajku chłopskiego, zostaje urzędującym Prezesem Stronnictwa Ludowego, który to wybór zostaje ponowiony w roku 1939.

Bierze udział w kampanii wrześniowej 1939 roku jako szeregowiec, poczem zostaje internowany na Węgrzech.

Po przyjeździe do Francji zostaje członkiem Rady Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej i, wobec stanu zdrowia Ignacego Paderewskiego, urzędującym jej Prezesem.

W początku 1941 roku odbywa wraz z ś.p. Generałem Sikorskim podróż do Ameryki, gdzie nawiązuje bliskie kontakty z przedstawicielami władz Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej oraz szerokich kół Polonii Amerykańskiej.

We wrześniu 1941 roku zostaje powołany na stanowisko wicepremiera i ministra Spraw Wewnętrznych, które to funkcje sprawuje aż do dnia tragicznej śmierci Generała Sikorskiego.

Dnia 6 lipca 1943 roku Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej powierza Stanisławowi Mikołajczykowi misję formowania Gabinetu. W dniu 14 lipca 1943 roku zostaje ukonstytuowany nowy Rząd Rzeczypospolitej Polskiej ze Stanisławem Mikołajczykiem jako premierem na czele.

* * *

Dnia 27 lipca 1943 roku premier Mikołajczyk wygłosił wobec Rady Narodowej exposé, zawierające programowe wytyczne nowego Rządu Rzeczypospolitej Polskiej. Podstawowe tezy to:

—kontynuowanie dzieła Generała Sikorskiego.

—zapewnienie Krajowi decyzji o przyszłym ustroju Polski,

ścisła łączność i współpraca z Krajem na czas wojny,

utrzymanie i pogłębienie sojuszu z Wielką Brytanią i ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej,

pogłębienie współpracy z Polonią Amerykańską,

opieka nad uchodźcami,

dążenie do trwałego porozumienia z Rosją Sowiecką,

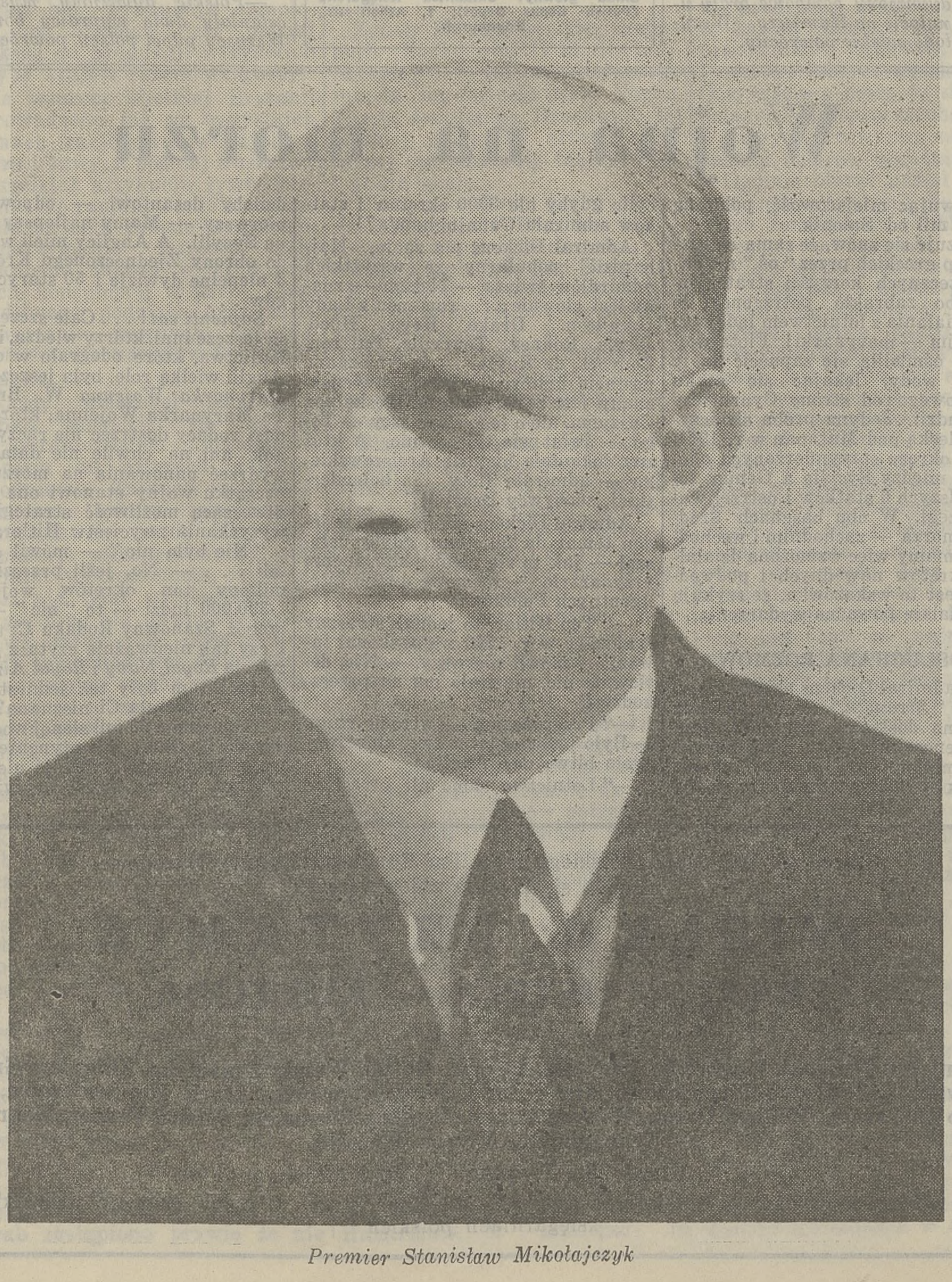
przygotowanie pomocy i środków do dzieła odbudowy Polski powojennej.

Nas, żołnierzy, bezpośrednio dotyczą te ustępy exposé Premiera Mikołajczyka, które określają rolę i zadania Polskich Sił Zbrojnych w ramach zamierzeń Rządu Rzeczypospolitej polskiej.

—"*Nasze Siły Zbrojne,*" — powiedział Premier — "*nasza Armia, Lotnictwo i Marynarka rozsławiają imię Polski w świecie swym męstwem i bohaterstwem. Są one zbrojnym ramieniem Narodu i jego narzędziem w walce o wyzwolenie. Naród Polski patrzy na swoje Siły Zbrojne z dumą i nadzieją, pewny, że po powrocie do Kraju będą one gwarantką jego granic i bezpieczeństwa praw i swobód.*

Rząd Polski, z największą troską i pieczołowitością traktując to zbrojne ramię Narodu, uczyni wszystko, co w dziedzinie moralnej i materialnej będzie potrzebne, by Siły Zbrojne pod dowództwem swego Naczelnego Wodza mogły współ ze zwycięskimi armiami naszych wielkich Aliantów stanąć na polskiej ziemi i połączyć się tam z towarzyszami broni Polski Podziemnej."

Do tych zadań, o których mówił Premier, przygotowywaliśmy się tak w Kraju jak i na obczyźnie. Obecnie zbliża się okres decydujący: będziemy zdawać wobec Kraju egzamin, którego wynik odpowie na pytanie, czy spełniliśmy wszyscy nasz obowiązek przez takie opanowanie żołnierskiego rzemiosła, które pozwoli nam z dumą patrzeć na armię, jako na "zbrojne ramię Narodu" i "gwarantkę jego granic i bezpieczeństwa praw i swobód."



Premier Stanisław Mikołajczyk

Padają już pierwsze twierdze przemocy. Kruszą się siły zła i zbrodni. Po błyskawicznym upadku faszyzmu włoskiego, klęska Niemiec jest coraz bliższa. Ale droga nasza do Kraju jest jeszcze daleka i czeka nas może śmiertelna rozgrywka z odwiecznym wrogiem na jego własnej ziemi.

Ponadto czeka nas wielkie zadanie w Polsce Odrodzonej: zapewnienia Jej bezpieczeństwa na przyszłość.

Te obowiązki wypełnimy tylko wówczas, jeśli każdy dzień na obczyźnie poświęcimy celowej pracy. W szarym żołnierskim trudzie winniśmy dążyć do osiągnięcia takiej doskonałości, jaką umożliwiły nam warunki wyposażenia i wyekwipowania, a jakich nie miała żadna w historii armia emigracyjna Polski.

Z doświadczeń i wiedzy naszych brytyjskich i amerykańskich Sprzymierzeńców winniśmy przejąć wszystkie zasady, niezbędne do spełnienia czekających nas zadań we wszystkich dziedzinach wiedzy wojskowej. Przyjaźń ich i dobrowolne braterstwo broni winny być fundamentem do współżycia i najściślejszej współpracy naszych narodów na przyszłość. Wspólnym, karnym i świadomym celów wysiłkiem otworzymy sobie wrota do Polski.

W dalszym ciągu swego przemówienia Premier Mikołajczyk podkreślił:

—"*Poza troską o ochronę biologiczną narodu, myślimy także, gdzie się tylko da, o akcji szkolenia i dokształcania, zarówno w wojsku, jak wśród rzesz uchodźców.*"

Akcja szkolenia i dokształcania, tak niezmiernie doniosła, wobec systematycznego niszczenia polskiej kultury i inteligencji przez Niemców na terenie Kraju, jest tym problemem, który stanowił od wielu lat przedmiot głębokiej troski władz wojskowych. To też z radością witamy to oświadczenie Premiera.

Owocność tej pracy, zarówno dla wojska jak i dla przyszłości Polski, będzie zależała od tego maksymalnego wysiłku, jaki każdy żołnierz da z siebie, gdy umożliwione mu zostanie dokształcanie się w jego zawodzie.

—"*Wszyscy mogą pracować więcej*" — *mówił Premier Mikołajczyk* — "*jeśli się chce i musi. A my chcemy i musimy. Chcemy i musimy pomnożyć dorobek Rzeczypospolitej.*"

W końcowym ustępie swego exposé, Premier użył zwrotu, który brzmi, jak hasło:

—"*Nie chcemy niczego uronić z naszej spuścizny, ni z naszych ziem, ni z naszych praw, ni z naszych ideałów.*"

Żołnierz polski zna to hasło.

Dla tych zasad walczył przez cały bieg dziejów polskich, a w obecnej wojnie dawał za nie krew i życie pod Kutnem, Warszawą, Lwowem, Modlinem, we fiordach Norwegii, na polach Lotaryngii, nad Wielką Brytanią, na oceanach całego świata, w piaskach Tobruku, w obozach, katorgach i więzieniach.

I o te zasady będzie walczył: w drodze do Polski.

WITOLD ZARZYCKI

Szkic sytuacyjny

GRA NA ZWŁOKĘ

Położenie we Włoszech jest nadal dosyć niewyraźne. Badoglio gra na zwłokę, chcąc uzyskać lepsze warunki aniżeli " bezwarunkowe poddanie." Próby *uskoczenia w neutralność* zostały sparaliżowane przez oświadczenia Churchilla i Roosevelta. Wojska niemieckie *wiszą jak lawina* na granicy alpejskiej: przypuszczać wolno, że w razie prób włoskich poddania się aliantom, Niemcy ruszą w dolinę lombardzką, ażeby zniszczyć potencjał wojenny i przemysłowy Włoch. Mógłby on okazać się pomocny sojusznikom, podobnie jak *lotniska* położone w płn. Włoszech.

Groza niemiecka paraliżuje politykę włoską. Nie wiemy do tej chwili, czy dywizje niemieckie zajęły istotnie *Triest, Fiume oraz Polę.* Doniesienia w tej mierze są sprzeczne. Jeżeli istotnie tak się stało, to dywizje niemieckie *odcinają drogę odwrotu Włochom.* Wojska włoskie stacjonowane na Bałkanach są *w potrzasku.* Droga odwrotu prowadzi dla nich przez *Dalmację i Albanię,* skąd pułki te mogłyby ewakuować się do ojczyzny. Być może jednak, że Włosi zdecydują się *zostać* na Bałkanach; istnieje wtedy możliwość nieporozumień między pułkami niemieckimi, a włoskimi. Tego rodzaju obrót sprawy byłby bardzo korzystny dla sojuszników: *brama adriatycka* stanęłaby otworem.

Flota włoska w Poli i Trieście narażona jest na pochwycenie jej przez Niemców. Jednostki na wodach Adriatyku są starszego typu. Nowe znajdują się w portach *Genui* i *Spezji.* I te również byłyby zagrożone, gdyby dywizje niemieckie spadły od strony Alp.

"*Wojna toczy się dalej,*" zapowiedział Badoglio na wstępie swoich rządów, ale już w niedzielę dnia 1-ego sierpnia rozgłośnia rzymska przytaczała wyjątki z pisma "*Giornale d'Italia,*" gdzie wspominano, iż celem prac rządu jest *zawarcie pokoju* "*z honorem.*" Jest jasne, że Badoglio ma ciężkie zadanie będąc między *niemieckim młotem a sojuszniczym kowadłem.* Postępy aliantów na Sycylii zostały nieco zahamowane na skutek twardej obrony Niemców. Ataki lotnicze zawieszono, w oczekiwaniu na wypadki polityczne. Korzystając z tej *przerwy* rząd Badoglio stara się podbić swoją cene.

Przypuszczać wolno, że *targ ten nie potrwa nadmiernie długo.* Stawka wojsk sojuszniczych na Sycylii nie przekraczała w pierwszym rzucie 160,000, jak oświadczył prezydent Roosevelt; uzupełnienia doprowadziły zapewne stan wojska do 350,000. Pomimo tego nie sposób jest jeszcze z taką siłą zamierzyć się *na rdzenne Włochy* albo próbować uderzenia *na Bałkany.* Pierwszym zatem zadaniem sojuszników jest tak *wzmocnić efektywy na przyczółku sycylijskim,* ażeby go najszybciej zlikwidować i zagrozić lądowi stałemu oraz podjąć takie bombardowania rdzennych Włoch, ażeby nastrój ludności nie pozostawiał *wyboru* rządowi Badoglio.

Ostrzeżenie dane przez radio algierskie zapowiada *podjęcie bombardowania Włoch.* Przypuszczać wolno, że zacznie się wielka ucieczka z włoskich miast. Sparaliżuje to do reszty możności obronne Włoch. W tych warunkach Badoglio będzie musiał uznać, że zneutralizowanie Włoch jest niemożliwością, że wyproszenie Niemców z Włoch jest drugą niemożliwością i że ustrzeżenie się od ataku dywizyj niemieckich jest *złudzeniem.* Będzie musiał uznać, że ojczyzna jego — z czym na pewno nie łatwo jest pogodzić się — stanie się *polem walki.* W tej chwili przynajmniej nie widać jak piękna ziemia włoska uniknąć może tej doli.

BOJE SYCYLIJSKIE

Przyczółek sycylijski od *Catanii do Messyny* trzymany jest przez jednostki niemieckie. Okazało się, że jednostki te pochwyciły najważniejszy odcinek frontu i że najlepiej się biją. Jest to *akcja opóźniająca,* o wiele lepiej przeprowadzona aniżeli obrona przyczółka tunetańskiego. Jeżeli zważymy, że obrona niemiecka nie dysponuje samolotami i że lotnictwo sojusznicze ustawicznie w nią bije, należy uznać, że pozycja Niemców jest niebywale ciężka i że ich uparta wola oporu jest godna podziwu. Dotychczasowa ilość jeńców przekroczyła 80.000, przy czym lwia część tych jeńców to Włosi; poddawali się oni w strefie Palermo Amerykanom niemal masowo. Na przyczółku Catania-Messyna nie może walczyć więcej jak 60.000. Naciska na te siły ok. 150.000. Świadczy to wymownie o sile oporu niemieckiego.

Likwidacja Sycylii powinna nastąpić najszybciej. *Oskrzydlenie rdzennych* Włoch powinno przyjść spiesznie, wtedy bowiem szanse poddania się Włoch wzrosną. Sojusznicy muszą jednak zgromadzić *znaczne siły dla okupacji* Włoch. Jest to dzisiaj ich główną troską. Doniesienia niemieckie /via La Linea, ośrodek szpiegostwa w kierunku Gibraltaru/ mówią o nowych wielkich transportach sojuszniczych.

NIEPOKOJE IBERYJSKIE

W Hiszpanii Franco postanowił wypuścić nowe partie więźniów politycznych, których trzyma pod dostatkiem w więzieniach. Istnieje możliwość rozwiązania skrajnej *Falangi.* Przebąkuje się o restauracji *monarchii.* Franco rozumie, że jego położenie jest mocno *nietrwałe.*

Upadek Mussoliniego odbił się również echem w *Portugalii.* Doszło tam do rozruchów i strajków. Opanowano sytuację, ale nie wydaje się, ażeby wszystko poszło na przyszłość gładko. Ładunek rewolucyjny jaki znajduje się pod powierzchnią Europy *jeszcze nie wybuchł.* Jest jednak rzeczą znamienną, że Włochy okazały na razie *mniej ochoty do rewolucji* niż to przypuszczano w pewnych kołach.

NALOT NA PLOESTI

Bombowce amerykańskie typu Liberator zaopatrzone w specjalne celowniki do bombardowania z małej wysokości, dokonały znakomitego ataku na Ploesti, centrum ropy rumuńskiej. Amerykanie przypuścili szturm na olbrzymią skalę. *Poprzednich trzech nalotów* na Ploesti /w tym dwa sowieckie/ nie można porównywać z tym atakiem bombowców USA.

Atak Liberatorów jest trafnym pociągnięciem. Wiadomo, że ropa rumuńska w dużej mierze karmi niemiecką maszynę wojenną. Ploesti i inne szyby rumuńskie dają *ok.* 40 *procent ropy dla niemieckiej maszyny wojennej.* Chociażby nawet przyjąć, że produkcja benzyny syntetycznej /skoncentrowana w grupie t.zw. *Leuna Werke/*, wzrosła — tym więcej, że ośrodek Leuny nie był dotychczas skutecznie bombardowany, przypuszczalnie ze względu na niebywale silną obronę tego odcinka — jeżeli nawet przyjąć, że Niemcy poważnie zasilili swoje zapasy ropy i benzyny, to *cios w Ploesti jest nader dla Niemców groźny.*

Dodatkowo wywołuje to *zamieszanie w Rumunii,* która jest w coraz gorszym nastroju, gdzie sprzeciw w stosunku do wojny staje się coraz bardziej ostry, gdzie opozycja podnosi głowę przeciwko obecnemu rządowi, gdzie dezercje z wojsk na Wschodzie mnożą się. W kraju takim jak Rumunia, który trzyma się na skutek wciśnięcia go między obręcz niemiecką a własny *rodzimy terror,* ataki Liberatorów przyjęte być muszą z uczuciem paniki.

Uderzenie Liberatorów jest zatem i *atakiem politycznym,* który rozniesie się szerokim echem *po całych niespokojnych Bałkanach.*

ATAKI NA WSCHODZIE SŁABNĄ

Doniesienia sowieckie na temat walk na froncie wschodnim stają się coraz bardziej monotonne. Posuwanie się w kierunku Orła przewleka się. Wydaje się, że ofensywa sowiecka uspokaja się i że odzyskała ona przede wszystkim i głównie obszary zdobyte przez Niemców w ich letniej próbie ofensywnej. Przyznawały się do tego późniejsze komunikaty sowieckie.

Czy uda się Rosjanom spiłowanie "*wykuszu*" Orła, nie wiemy. Czy uda się im jeszcze jakaś akcja tego lata i jesieni — trudno doprawdy orzec. W każdym razie wydaje się, że niemieckie próby *rozproszenia koncentracji sowieckich* nie były całkowicie pomyślne i że będą musiały się powtarzać często. Jak Niemcy wytrzymają tę zimę na Wschodzie — lepiej nie prorokować. Pomimo tego, że liczne linie ich obrony są dzisiaj mocniejsze aniżeli w r. ub., że zdołali oni zorganizować lepiej przyfroncie, pobudować stanice, koszary, punkty opatrunkowe, szpitale, kazamaty i blokhauzy, że okopy są lepiej zaopatrzone—to jednak *zima będzie zimą a zasoby sowieckie na pewno olbrzymie.*

RAF uwziął się na Hamburg i zrzucił na ten olbrzymi port *tysiące ton bomb.* Według sprawozdań robotników duńskich oraz marynarzy, którzy opuścili port hamburski i przybyli do Danii /sprawozdania te podała prasa szwedzka/, Hamburg jest *potwornie zniszczony.* Można sobie to łatwo wyobrazić, chociażby nawet przyjąć, że obszar, na którym leży port jest olbrzymi, że doki hamburskie zajmują kilometry i że *kamuflaż* w tym mieście był jednym z najbardziej pomysłowych na świecie /zbudowano osobne "parki" wytyczono nowy bieg Alstery, stworzono sztuczne jeziora, ażeby zmylić lotnictwo sojusznicze/.

Atak RAF'u wymierzony jest nie tylko w doki i stocznie, gdzie buduje się okręty podwodne. W Hamburgu są wielkie *zakłady lotnicze.* Przede wszystkim jednak chodzi sojusznikom o sparaliżowanie *hamburskiej produkcji łodzi podwodnych.* Już nieraz na tych łamach podkreślaliśmy, że ataki *najbardziej zażarte RAF'u kierują się przeciwko ośrodkom produkcji U-Bootów, jest to bowiem bardzo czuły punkt W. Brytanii i musi ona za wszelką cenę osłabić niemiecką wytwórczość.*

Rozmiary ataków na Rzeszę są coraz poważniejsze. Nasilenie uległo chwilowej przerwie, ale mimo zobowiązań na południu RAF dalej przypomina się Niemcom raz po raz. Krzyk, jaki ustawicznie rozlega się na łamach prasy niemieckiej jest dowodem, że kierownictwo Rzeszy doprowadzone zostało do rozpaczy nalotami, za które nie może odpłacić.

Korespondent lotniczy "*Evening Standard*" zamieścił dnia 31-ego lipca rozbiór na temat ataków lotniczych na Rzeszę; przyznaje on, że jeżeli ludność Rzeszy znosi mimo wszystko potworne ciosy lotnicze, to musimy przyjąć iż: istnieje dla niej możność rozpraszania się po wielkich połaciach niebombardowanych i że obrona przeciwlotnicza w postaci schronów jest doskonale postawiona; "*Evening Standard*" uważa, że dotychczas jeszcze nie złamano morał niemieckiej ludności i że warto przeanalizować powody, dlaczego się tak jeszcze nie stało.

Londyn, dnia 2-ego sierpnia 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

26 *l i p c a : Polskie dywizjony myśliwskie trzykrotnie osłaniały wyprawy bombowe oraz przeprowadzały wymiatanie nad terenami okupowanymi przez nieprzyjaciela. W czasie tych zadań myśliwcy polscy zestrzelili jednego Focke-Wulf* 190 *na pewno oraz uszkodzili dwa Me-*109. *Dwóch pilotów polskich nie powróciło.*

—Prezydent R.P. Wł. Raczkiewicz przyjął Naczelnego Wodza gen. broni K. Sosnkowskiego.

27 *l i p c a : Prezes Rady Ministrów St. Mikołajczyk wygłosił w Radzie Narodowej przemówienie na temat zasad polityki rządu.*

—Polskie dywizjony myśliwskie wykonały wymiatanie nad terenami okupowanymi przez nieprzyjaciela. Do spotkań nie doszło. Wszyscy piloci polscy powrócili z tego działania.

28 *l i p c a : W nocy z 27/28 polskie dywizjony bombowe brały udział w nalocie na Hamburg. Wszystkie załogi polskie powróciły.*

—W nocy z 27/28 polskie samoloty wykonały loty intruderskie. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

—Na cmentarzu lotników polskich w Newark odbył się pogrzeb Szefa Sztabu N.W. gen. bryg. T. Klimeckiego, szefa Oddziału Operacyjnego Sztabu N.W. płk. dypl. Mareckiego i por. mar. J. Ponikiewskiego, którzy zginęli w Gibraltarze razem z Naczelnym Wodzem gen. broni Wł. Sikorskim.

—Polskie skrzydło myśliwskie osłaniało wyprawę bombową i wykonało wymiatanie. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

29 *l i p c a : Dwa polskie skrzydła myśliwskie dwukrotnie osłaniały wyprawę bombową. Wszystkie samoloty polskie powróciły.*

—Samoloty polskiego dywizjonu rozpoznawczego wykonały lot na rozpoznanie żeglugi nieprzyjacielskiej. Wszystkie samoloty powróciły.

30 *l i p c a : W nocy z 29/30 polskie dywizjony bombowe brały udział w wielkim nalocie na Hamburg. Po wykonaniu zadania wszystkie samoloty polskie powróciły.*

—Tej samej nocy polskie samoloty myśliwskie przeprowadziły lot intruderski ponad terenami zajętymi przez nieprzyjaciela. Wszystkie samoloty powróciły.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały dwie wyprawy bombowe. Wszyscy piloci polscy powrócili.

Wojna na morzu

KIEPSKA POCIECHA

Radio niemieckie ogłosiło, że w Marynarce Handlowej Stanów Zjednoczonych liczba dezerterów doszła do 100.000, a nie lepiej jest w brytyjskiej. Ma to pocieszyć Niemców wobec bankructwa wojny podwodnej: nie podołały wprawdzie okręty Doenitza, ale Anglicy i tak nie będą mogli pływać, bo zabraknie im personelu.

Jeszcze jedno zwykłe kłamstwo niemieckie o krótkich nogach. Dezerterzy istnieją niewątpliwie w każdej marynarce i niemiecka z pewnością nie jest na ostatnim miejscu. Ale już fakt, że od Pearl Harbour marynarka handlowa Stanów Zjednoczonych powiększyła się o ponad 1000 statków, a wojenna o z górą 400 — świadczy sam za siebie. Lekko biorąc potrzeba na to 100.000 ludzi — to jest . . . akurat tyle ile rzekomo zdezerterowało! No i jakoś trudności z personelem niema. Nie inaczej jest w Marynarce Brytyjskiej.

O wydajności obu tych marynarek świadczy najlepiej przerzucanie milionowych armii poprzez wody świata. Jeden żołnierz na froncie zamorskim to 13 ton pojemności rejestrowej, jeśli liczyć sprzęt i zaopatrzenie. Cyfra ta wskazuje jak krucha jest pociecha wymyślona przez Goebbelsa. Bo jeszcze nigdy tonaż sprzymierzony nie pracował tak wydatnie i na tak wielkich przestrzeniach, jak obecnie.

NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM

Bombardowanie Crotone, o 80 mil od włoskiej bazy morskiej w Tarencie, było operacją śmiałą i doskonale zorganizowaną. Krążowniki i kontrtorpedowce brytyjskie podeszły o 5 mil do brzegu. Z lądu słabo odpowiedziały dwie baterie. Interwencji morskiej ze strony nieprzyjaciela nie było; powietrzna została zlikwidowana przez myśliwce floty.

Na osobną uwagę zasługują działania okrętów podwodnych brytyjskich i sprzymierzonych na tak ciasnych wodach jak koło Archipelagu Greckiego. Zatopiły one tam w ciągu ostatnich tygodni około 40 jednostek pływających nieprzyjaciela, przy czym bombardowały też brzegi niektórych wysp. Dwa okręty podwodne wtargnęły w głąb Zatoki Salonickiej, ostrzeliwując miejscowość, położoną o kilka mil od Salonik.

Pokazuje się znów, że sama okupacja wysp greckich przez " oś " nie dała ostatecznych korzyści strategicznych, bo zabrakło potrzebnej do współdziałania z lotnictwem lądowym i morskim — marynarki! Flota włoska nie ośmieliła się zapuścić na te dalekie wody, lękając się ataku skrzydłowego od strony Cypru czy Aleksandrii. Jedyna próba skończyła się klęską pod Matapan w r. 1941.

Inne okręty sprzymierzonych operowały między Sycylią a Genuą, topiąc dalszych 6 statków i ostrzeliwując brzegi. W obu basenach Śródziemnomorza — zachodnim i wschodnim — mamy więc wzmożoną działalność okrętów nawodnych i podwodnych; jest to wskazówka, że szykują się tu dalsze poważne wydarzenia.

PODSŁUCHANA ROZMOWA

Wiceadmirał Dickens skarży się na łamach "*Strand'u,*" że podczas gdy świat zna doskonale nazwiska słynnych generałów — to admirałowie, najsłynniejsi nawet, pozostają w cieniu. Jak by to było z desantem na Sycylię gdyby nie 3000 okrętów i statków admirała Cunningham'a?!

Admirał Dickens ma rację. Najbardziej popularny ze wszystkich admirałów świata — Nelson — znany jest głównie z . . . romansu z Lady Hamilton. Drake, Howe, Hood, Jervis, Rodney, Tourville, Suffren, Courbet, de Ruyter — to " nieznane postacie historii." Rozdżestwienski znany jest ze względu na klęskę pod Cuszymą, ale o jego zwycięzcy — Togo — świat wie tyle co nic. A któż zna dokładnie historię Arciszewskiego — admirała floty . . . holenderskiej, zdobywcy Brazylii?

Admirał Dickens miałby jeszcze jeden temat do felietonu, gdyby usłyszał — jak to się niżej podpisanemu przydarzyło — rozmowę dwóch inteligentnych Polaków:

—" Ten Hitler, to jednak straszny frajer, że w r. 1940 nie wykonał inwazji — mówił pierwszy. — Nic, dosłownie nic, nie stało mu na przeszkodzie."

—" Przepraszam — wtrącił drugi. — Było przecież lotnictwo, które wygrało bitwę nad Anglią."

—" Lotnictwo samo nie przeszkodziłoby desantowi — odpowiedział pierwszy. — Mamy najlepszy dowód na Sycylii. A Anglicy mieli wówczas do obrony Zjednoczonego Królestwa 3 niepełne dywizje i 50 starych czołgów . . ."

Sapienti sat! . . . Całe szczęście, że są jeszcze inni, którzy wiedzą, iż prócz lotnictwa, które odegrało w obronie Anglii wielką rolę, była jeszcze i jest *Marynarka Wojenna* W. Brytanii. Ta Marynarka Wojenna, której obaj nasi rodacy dostrzec nie raczyli, jednak ani na chwilę nie dała sobie wydrzeć panowania na morzu. Od początku wojny stanowi ona potęgę niweczącą możliwość strategicznego wyzyskania zwycięstw Hitlera.

" Nie było nic " — mówił ów Polak . . . — No, jeśli przeszło dwa miliony ton okrętów wojennych i 300.000 ludzi — to " nic " — tedy czegóż Szanowny Rodaku Ci trzeba? I czy tak nieuważnie czytasz gazety, że rola *Royal Navy* i *Royal Air Force* /i tu i tam były też jednostki polskie!/ pozostała Ci nieznaną?

" Gdyby nie 20 mil słonej wody między W. Brytanią a kontynentem, bitwa o Anglię toczyłaby się nie w powietrzu, ale na lądzie brytyjskim " — powiedział Pierwszy Lord Admiralicji. — Bo niewątpliwie gdyby nie było "*Home Fleet,*" Niemcy spróbowaliby desantu.

A no cóż? Na mentalność niektórych ludzi nie ma ratunku. Dowiemy się od nich jeszcze, że desant na Sycylię przeprowadzony został także bez udziału Marynarki Wojennej!

ZAWIEDZIONE NADZIEJE

" Nadzieje Niemców na zmianę losów wojny przez działalność okrętów podwodnych, giną równie szybko jak toną te okręty " — powiedział Churchill. A choć " na pociechę " cyfra zatopionego tonażu sojuszników w miesiącu lipcu /w wersji niemieckiej/ znów wzrosła do 308.000 ton, to jednak znamy już dobrze " buchalterię " komunikatów Hitlera. Gdyby jednak była nawet prawdziwa, to wobec olbrzymiego ruchu okrętów i statków sprzymierzonych /ponad 8000 jednostek średnio w ruchu co dobę/ stanowiłaby i tak nikły odsetek całości; mniejszy procentowo od strat lotnictwa w nalotach na Niemcy.

Nie jest to pierwszy i — miejmy nadzieję — ostatni zawód jaki czeka Hitlera i jego sztab. Ale, jak to pułkownik Knox oświadczył — " najgorszym błędem z naszej strony byłoby niedocenianie istotnych sił nieprzyjaciela i przedwczesne liczenie na zwycięstwo."

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Z operacji, których szczegóły muszą pozostać jeszcze w tajemnicy, możemy wymienić pobieżnie:

1/ Udział polskich sił morskich w desancie na Sycylię oraz w obronie konwojów do portów sycylijskich.

2/ Operacja polskich okrętów podwodnych przeciwko liniom komunikacyjnym nieprzyjaciela na Morzu Śródziemnym.

3/ Pomyślne operacje morsko-lotnicze przeciw niemieckim okrętom podwodnym na wodach Francji, przy czym jeden z naszych kontrtorpedowców wydobył z wody część załóg dwóch zatopionych korsarzy Hitlera i " dostarczył " do Anglii ten " cenny materiał."

JULIAN GINSBERT

Kliny

Od czasu do czasu pojawiają się w polskiej prasie emigracyjnej wypowiedzi i aluzje na temat Czechosłowacji, zawierające nieprzemyślane i niesłuszne oskarżenia pod adresem tego bratniego narodu, że skapitulował bez walki, że oddał swój wspaniały sprzęt wojenny nietknięty w ręce Niemców, że przyjął klęskę bez stoczenia boju, w przeciwieństwie do Polski, która podjęła beznadziejną walkę i poniosła w niej straszliwe straty i t.p. Wszystkie tego rodzaju emocjonalne, subiektywne sądy wyrażane pochopnie, wszelkie opinie nie dość głęboko przemyślane, a ustalające w sposób nieraz dziecinny, kto z nas lepszy, a kto gorszy, są nie tylko nie na czasie w tak ważnej chwili dziejowej, lecz przede wszystkim są krzywdzące i zgoła niesłuszne. Są one szkodliwe, bo również niweczą pracę tych, którzy zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie usilnie pracują nie tylko nad zbliżeniem się obu narodów, lecz także nad ich ścisłą współpracą, jako związku organicznego. — Są to kliny, wbijane nieopatrznie, choć nieraz bezwiednie, między bratnie narody, które zawsze były, są i będą złączone węzłami krwi i które, co najważniejsze, od tysiąca lat mają tego samego śmiertelnego wroga.

Są to kliny, których metoda wbijania jest, a przynajmniej powinna być, dobrze nam znana na przestrzeni tyluwiekowych zmagań zachodniej Słowiańszczyzny z krwiożerczą hydrą germańską.

Niemcy, ten naród drapieżców, kieruje się w walce ze Słowianami pewnymi niezmiennymi zasadami, stosowanymi zarówno w czasie pokoju, jak i w wojnie. Polegają one na dzieleniu Słowian na poszczególne, nie współpracujące z sobą narody, na dzieleniu z kolei narodów na grupy językowe, wreszcie — na okrążaniu i odizolowywaniu poszczególnych narodów i plemion oraz kolejnym dławieniu jednego po drugim.

Schemat ten jest niezmiernie zresztą podobny do germańskiego schematu t.zw. "*Vernichtungsschlacht,*" którego przykłady widzieliśmy w czasie tej wojny na froncie rosyjskim, a którego zasady dadzą się streścić w następującym zdaniu; wbić wielki klin w armie nieprzyjaciela, a gdy się uda — starać się za pomocą mniejszych klinów łupać obie rozdzielone części w dalszym ciągu, dążąc przy tym stale do okrążenia, dopóki nie wytworzą się odosobnione, nie współdziałające ze sobą grupy, łatwe już potem do zniszczenia.

Ta olbrzymia "*Vernichtungsschlacht*" toczy się od tysiąca lat. Od tysiąca lat Niemcy uderzają, wbijając kliny, i od tysiąca lat narody Słowiańszczyzny Zachodniej nie potrafiły tej metodzie ani oprzeć się, ani przeciwstawić skutecznie, a może nawet jej zrozumieć. Padli Wendowie, Zachodni Serbowie, Łużyczanie, Pomorzanie, zniszczono prawie zupełnie Ślązan, oddzielono od reszty Mazurów i część Kaszubów, zaś obecnie Niemcy wydzielają z całości słowiańskiej Słowaków, Rusinów, Morawian, a nawet "Górali."

Czy nie dość tych przykładów, by zrozumieć, jak ważnym dla istnienia obu narodów, czeskiego i polskiego, jest ścisłe współdziałanie na wszystkich polach i jak najściślejsze zespolenie się obu państw mocnymi węzłami sympatii i zrozumienia? Nie powinno to być zbyt trudne, gdyż od wieków łączą nas przecież węzły czysto naturalne, to jest węzły krwi i pokrewieństwa językowego.

Jest rzeczą zdumiewającą, że my, którzy piszemy artykuły, rzucamy oskarżenia i wydajemy opinie na temat stosunków polsko-czechosłowackich, w istocie mało wiemy o bratnim narodzie czeskim, choć z nim od zarania dziejów sąsiadujemy.

Uderzmy się w piersi i powiedzmy szczerze, że bardzo niewiele wiemy o historii narodu czeskiego, o jego osiągnięciach i chwale, oprócz niewielkiej ilości wiedzy, wtłaczanej nam w głowy w szkole, na lekcjach historii, z podręczników, które bardzo często pozostawały pod wływem historiografii niemieckiej, starannie unikającej pisania o Czechach. Nie wiele wiemy nawet o podobieństwie językowym, prócz faktu, że oba języki są bardzo podobne.

A przecież wpływ języka czeskiego na rozwój naszego języka był bardzo poważny. Wystarczy przypomnieć sobie tekst staropolskiej pieśni Bogurodzica, znanej każdemu z nauki języka polskiego w szkole, a uderzy nas podobieństwo nie tylko wyrazów, ale dźwięków. Czy znamy twórczość tego narodu, czy tłumaczymy arcydzieła literatury czeskiej? A przecież to naród, który posiada wielowiekową kulturę i piśmiennictwo. Wyznajmy szczerze, że więcej wiemy o narodach, nie tak nam bliskich, jak naród czeski z którym od wieków sąsiadujemy.

Jest u nas legenda o narodzie czeskim jako nie wojennym. Są w dziejach wielu narodów okresy chwały wojennej i inne, upadku wartości wojskowych. Czesi mieli w XV wieku wspaniałe dzieje wojskowe, byli wtedy dla nas mistrzami, braliśmy od nich dowódców i hetmanów, uczyliśmy się nowych metod wojowania. Długi byt bez własnej armii narodowej nie sprzyjał rozwojowi ducha żołnierskiego w ich narodzie. Ale i niedawne czasy dowiodły, że Czesi umieją bić się dzielnie, ofiarnie i z powodzeniem, gdy walczą za własną sprawę. Któż może zaś zaręczyć, że jutro nie przyniesie znowu rozkwitu wojskowości czeskiej? Wysokie znane nam wartości wielu czeskich kolegów pozwalają spodziewać się tego w całej pełni.

Wniosek prosty: najpierw uzupełnijmy naszą wiedzę, poznajmy się lepiej wzajemnie, poznajmy dzieje, kulturę i duszę Czechosłowacji, a potem dopiero piszmy na tematy tak drażliwe, jak powyżej przytoczone — może zmienimy zdanie i cofniemy pochopne sądy.

Niewątpliwie w ciągu wieków jedna i druga strona popełniała błędy, które wyszły na korzyść jedynie naszemu wspólnemu wrogowi — Niemcom, ale nie czas się tym zajmować w tak doniosłej chwili dziejowej. Lepiej myślmy, jak uniknąć sporów na przyszłość.

Pamiętać należy, że od zarania dziejów wbijano między nas kliny geograficzne, polityczne, a nawet natury uczuciowej, byle tylko nie dopuścić do współpracy, zagrażającej realizacji niemieckiego planu osłabienia, a następnie zniszczenia żywiołu słowiańskiego — ku chwale "Wielkiej Germanii."

Lepiej milczmy, niż byśmy mieli oskarżać się pochopnie. Nie stwarzajmy uczuciowych przeszkód, które rozsadzają nasze usiłowania, zmierzające do stworzenia wspólnego frontu przeciwko wspólnemu śmiertelnemu wrogowi.

Jeśli nas boli fakt, że Czechosłowacja skapitulowała po Monachium, że oddała bez jednego wystrzału kraj w ręce niemieckie, a wraz z nim fabryki dział i samolotów oraz cały sprzęt wojskowy, który tak bardzo byłby nam przydał się w nierównej walce, jaką rozegraliśmy we wrześniu 1939 roku, to nie zapominajmy o zasadniczych faktach, które spowodowały to, co się stało.

Układ monachijski, który podeptał artykuły pokoju wersalskiego i zasady moralności międzynarodowej, jest jednym z najbardziej haniebnych dokumentów w historii. Czechosłowacja została zdradzona przez alianta francuskiego, została opuszczona przez alianta wschodniego i nie znalazła zrozumienia w W. Brytanii. Stanowisko Polski, jedynego sąsiada, było niewątpliwie w oczach Czechów dwuznaczne.

Decyzja poddania się bez walki nie była powzięta z własnej inicjatywy, lecz została bezwzględnie narzucona przez zachodnich aliantów, na których tym samym spada odpowiedzialność za to, że cały sprzęt wojenny czechosłowacki dostał się w ręce niemieckie i został użyty przeciwko Polsce oraz innym Zjednoczonym Narodom.

Układ monachijski został podpisany bez udziału Czechosłowacji. Czechosłowacja pozostała sama, wydana na pastwę śmiertelnemu wrogowi. Cóż mogło zdziałać 8 milionów Czechów przeciw dziesięciokrotnej przewadze? Cały świat, podobnie jak Piłat, umył ręce, a hordy niemieckie marzyły o chwili, w której dadzą upust swym krwiożerczym instynktom i, mając zapewnioną bezkarność, wymordują doszczętnie naród czechosłowacki.

Decyzja poddania się nie była dla Czechów łatwa. Kto był w tych tragicznych dniach w Pradze, ten mógł stwierdzić, jak straszna była rozpacz społeczeństwa czeskiego, jak wielu gorących patriotów wolało by było zginąć na polu walki, niż oddać się w niewolę.

Są podzielone zdania, czy samobójstwo jest bohaterstwem, czy tchórzostwem. Zazwyczaj skłonni jesteśmy uważać samobójstwo za chęć uniknięcia odpowiedzialności. Czechosłowacja samobójstwa nie wybrała — historia kiedyś powie, czy słusznie.

Stawianie za przykład Polski jest oparte na bardzo powierzchownym sądzie. Decydując się na przyjęcie niemieckiego wyzwania, mieliśmy przymierze z W. Brytanią, mieliśmy za sobą poparcie całego świata i wiedzieliśmy, że nowa wojna światowa przyniesie nam wyzwolenie.

Po-monachijska tragedia Czechosłowacji wywołała w Polsce wielkie współczucie, a nawet u wielu pewnego rodzaju zawstydzenie. Otwarliśmy naszą granicę dla tych czechosłowackich obywateli, którzy pragnęli walczyć za swoją ojczyznę, z otwartymi ramionami przyjęliśmy czechosłowackich oficerów i żołnierzy, którzy jechali przez Polskę do Legii Cudzoziemskiej, ochotnie zgodziliśmy się na utworzenie Legionu Czechosłowackiego, by walczyć ramię przy ramieniu przeciw wspólnemu wrogowi.

Oby ta straszna lekcja historii, będąca zarazem karą za to, że nie potrafiliśmy wspólnie zbudować wału przeciw niemieckiej zaborczości i nienawiści, była już ostatnia. Niech każdy pamięta, że wszelka małostkowość we wzajemnych stosunkach obu naszych narodów może wyjść na korzyść tylko naszemu wrogowi.

STANISŁAW BYSTRZYŃSKI

Ameryka w wojnie

Wsród narodów sprzymierzonych Stany Zjednoczone zajmują dzisiaj obok Wielkiej Brytanii czołowe stanowisko w prowadzeniu wojny. Ameryka stała się od czasu japońskiej inwazji na Pacyfiku arsenałem narzędzi wojny, narzędzi dostępnych tym wszystkim, których hasłem jest wolność. W listopadzie 1941 roku, a więc na miesiąc przed Pearl Harbour wielu wnikliwych obserwatorów twierdziło, że wejście Ameryki do wojny byłoby przedwczesne a nawet szkodliwe z punktu widzenia nie tylko amerykańskich interesów, ale amerykańskiej racji stanu.

W roku 1940 Stany Zjednoczone posiadały zaledwie 430 tysięcy stałego żołnierza i takąż ilość Gwardii Narodowej, flota amerykańska nie zdolna była wówczas do prowadzenia działań wojennych choćby na jednym tylko oceanie. Lotnictwa wojskowego w znaczeniu nowoczesnym, prawie że nie było. Obserwatorzy nie mylili się twierdząc, że Stany Zjednoczone, symbol postępu nowoczesności i szybkości w realizowaniu zamierzeń, nie były wówczas gotowe do wykonania zdecydowanego kroku, na który wyczekiwała Wielka Brytania. Do tego kroku nie był przygotowany przemysł, nie był przygotowany naród.

Pamiętny atak japoński na Pearl Harbour dokonał w ciągu jednego dnia takiej przemiany pojęć w narodzie amerykańskim jakiej nikt się nie spodziewał. W ciągu krótkiego czasu wyrosły olbrzymie fabryki wojenne, a młodzież znalazła się w szeregach.

Budżet Stanów Zjednoczonych na rok 1944 wynosić będzie blisko 110 miliardów dolarów. Będzie on dziesięciokrotnie większy od budżetu roku 1940. Obecny budżet USA pięciokrotnie przewyższa budżet Wielkiej Bytanii.

Stocznie okrętowe Ameryki spuszczają na wodę 3 okręty wojenne i pięć statków towarowych d z i e n n i e. Z pasów montażowych zakładów Forda w *Willow Run*, Michigan, wybudowanych w sześć miesięcy, startuje do lotu co godzinę — jeden wielki czterosilnikowy bombowiec. A fabryki rozsiane są po wielu Stanach. W ciągu pierwszych czterech miesięcy bieżącego roku wyprodukowano więcej samolotów aniżeli przez ostatnie trzydzieści lat. Produkcja samolotów w Stanach jest dzisiaj większa od produkcji wszystkich innych krajów razem wziąwszy.

Za wzorem Wielkiej Brytanii wprowadzono już we wszystkich Stanach racjonowanie najpierw cukru i kawy, a później tłuszczów i wszelkich artykułów żywnościowych. To racjonowanie żywności miało na celu przede wszystkim powstrzymanie wzrostu cen, uniknięcie chaosu w produkcji, ujęcie konsumpcji w karby sprawiedliwego podziału, oraz zarezerwowanie pewnych zapasów żywności dla narodów Sprzymierzonych.

Każdy właściciel samochodu szybko pogodzić się musiał z ograniczeniem materiałów pędnych do czterech galonów tygodniowo. Zniknęły już z wielkich szos sznury samochodów. Skończyła sie jazda dla przyjemności; *pleasure-driving* jest wielkim wykroczeniem, za które grozi nie tylko utrata kuponów na gazolinę ale nawet odebranie prawa jazdy. W ograniczeniu jazdy samochodowej Amerykanin odczuł wojnę chyba najbardziej. *My home is my car* — to był slogan niemal każdego Amerykanina. Ograniczenie konsumpcji gazoliny miało właściwie inny charakter, nie chodziło tu o gazolinę, której produkcja w samym tylko Teksasie jest większa od wszystkich krajów razem wziąwszy, ale raczej o cenną gumę, o kauczuk, który to surowiec sprowadzany z wysp holenderskich na Pacyfiku jest obecnie eksploatowany przez Japończyków. Dlatego też żaden rząd amerykański nie zgodziłby się na to, aby Holenderskie Indie Wschodnie były w rękach japońskich. Niech się dzieje z resztą świata co chce, ale Pacyfik musi być pod kontrolą Wuja Sama, bo tam są surowce droższe od złota —których niema w Stanach.

Ograniczeń odzieżowych niema ze względu na olbrzymie zapasy, a jedynie jedwab zastąpiono prawie ustępującym mu sztucznym jedwabiem. Jedynie zapotrzebowanie obuwia ograniczono do trzech par rocznie dla jednej osoby.

Zgasły światła wielkiej metropolii Zachodniej Półkuli, najbardziej kosmopolitycznego miasta na świecie New Yorku. Zgasły światła na Broadway, tej wąskiej a długiej arterii, przy której się rozsiadły teatry, kina i nocne lokale.

Dziesięciomilowy pas wybrzeża na Atlantyku i Pacyfiku pogrążony jest w blackoucie. W ciemnościach żyje San Francisco i Hollywood. Słoneczne wybrzeże Florydy gdzie milionerzy spędzali zimowe wakacje w bajecznie pięknych i drogich hotelach w Daytona Beach, Miami czy West Palm Beach nie pociąga już turystów.

Blackoutu niema jednak wewnątrz kraju. Życie płynie normalnym trybem, z tym, że whisky, gin i cocktaile poszły w górę, zwiększył się *cover-charge* w nocnych klubach, a przyzwoity obiad zaczyna się od dolara pięćdziesięciu centów.

Kobiety amerykańskie ustosunkowały się do wojny jak najbardziej pozytywnie. Licznie zapełniły szeregi ochotniczek Czerwonego Kryża i organizacji USO */United Service Organisation/* której zadaniem jest opieka nad żołnierzem. Odpowiedziały jak najbardziej czynnie na hasła zbierania materiałów potrzebnych dla produkcji wojennej. Oddały wszystkie zbędne naczynia aluminiowe, przedmioty gumowe oraz złom żelazny. Miliony ton starego żelaza wydobyto z garaży i strychów każdego niemal domu. Amerykanki gremialnie ruszyły do szeregów służby pomocniczej armii *W.A.A.C.S.* i floty *W.A.V.E.S.* i szybko przejęły prace biurowe, zwalniając tym samym tysiące mężczyzn do służby w polu.

Matki wywieszają w oknach specjalne gwiazdy oznaczające, że ich syn jest w służbie kraju. Na niektórych domach takich gwiazd jest kilka. W polskim osiedlu Hamtramck w Michigan na jednej z ulic niema domu, w której oknie nie byłoby takiej gwiazdy.

Kobiety zajęły poważne miejsce w produkcji wojennej. Niemal w każdej fabryce duży odsetek pracowników stanowią kobiety. Praca we fabryce weszła w modę. Oczywiście z modą tą złączone są dolary. Przeciętny zarobek kobiety w fabryce przewyższa sumę czterdziestu dolarów tygodniowo.

Ogólnie biorąc udział Ameryki w wojnie przyczynił się do szybkiego rozwiązania problemu bezrobocia, a zarobki skoczyły w wielu wypadkach o sto procent. Od czerwca bieżącego roku dwadzieścia pięć procent zarobków zabierać będzie skarb w myśl nowouchwalonej ustawy, której hasłem jest "*Pay while you go.*" Poza tym dziesięć procent miesięcznych zarobków musi każdy obywatel lokować w pożyczce wojennej, dającej trzyprocentowy zysk w stosunku rocznym. Od przymusowego oszczędzania nawet wojsko nie jest zwolnione.

Jeżeli jesteś w mundurze wszystko stoi przed tobą otworem, wszędzie są dla żołnierzy zniżki, a autobosami jeździsz bezpłatnie, jak byś był co najmniej inspektorem ruchu miejskiego.

Żołnierz jest w modzie. Krój żołnierski przekrada się do życia codziennego. Firmy krawieckie lansują wszystko co nowe pod znakiem *victory*, a więc *victory-hat, victory-suit*, nawet *victory-shoes*. Każda firma wypuściła na rynek jakiś artykuł pod nazwą *victory*. Ze względu na oszczędność pracy ograniczono ilość gatunków lodów do 30!, a między innymi powstał nowy gatunek: *Victory ice-cream*.

Pod wpływem dobrze zorganizowanej propagandy nastąpiła zupełna przemiana psychiki przeciętnego Amerykanina, który jest dzisiaj świadom swego zadania i roli jaką ma odegrać w tej wojnie. Przemysł filmowy bynajmniej nie czekał na wskazówki z Waszyngtonu. Uderzono w nutę patriotyczną, bez rządowych zaleceń. Film amerykański stanął od razu na wysokości swego propagandowego zadania. W chwili ukazania się na ekranie Gwiaździstego Sztandaru publiczność klaszcze, a młodzież wyje po prostu z nadmiaru patriotyzmu i miłości do swego kraju, w którego wielkość, potęgę i demokrację wierzy z fanatyczną siłą.

Nie małą rolę odgrywa także radio, które obejmuje ponad osiemset rozgłośni. Żadna radiostacja nie dopuści już dzisiaj do mikrofonu izolacjonisty, bo naraziła by się na niepowetowane straty ze strony ogłaszających się firm i na przykrości od słuchaczy.

Hasłem dnia jest zakupywanie 3% pożyczki wojennej—*U.S. War Bonds* — Zaczął się wyścig i na tym polu. Afisze i reklamy *U.S. War Bonds* krzyczą z każdej strony, nawołują ze szczytów drapaczy i w kolejach podziemnych. *Sky-writers*, specjalnie szkoleni lotnicy wielkich firm reklamowych, piszą smugami dymu nad drapaczami chmur: *Buy U.S. War Bonds*. Nawet firmy prywatne biorą udział w tej kampanii. Znaczki oszczędnościowe, *War Savings Stamps*, można dostać w każdym sklepie, nawet wypada przyjąć wydaną resztę w znaczkach oszczędnościowych.

Dzięki wielkiemu wysiłkowi całego narodu siły zbrojne Stanów Zjednoczonych mają liczyć pod koniec bieżącego roku 13 milionów żołnierza. Lotnictwo ma obejmować sto tysięcy samolotów różnego typu, a amerykańska flota wojenna ma być tak silna, by mogła walczyć nie tylko na dwu oceanach, ale wogóle na wszystkich morzach świata.

Cały naród amerykański dąży do zwycięstwa, do przywrócenia wolności narodom okupowanym i zaprowadzenia wraz z narodem brytyjskim ładu na całym świecie. Wszechstronny udział Ameryki w wojnie jest zapowiedzią wszechstronnego rozwiązania zagadnienia pokoju i przyszłych stosunków międzynarodowych, które będą się opierały na czterech wolnościach ogłoszonych przez prezydenta Roosevelta, oraz na Karcie Atlantyckiej. Nie będzie miejsca na ucisk i niewolę w Nowym Świecie, który będzie owocem zbliżającego się zwycięstwa.

STEFAN, J. MACIURZYŃSKI

Ś.p. generał Tadeusz Klimecki

Poznałem go w r. 1930 w murach Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie. Nazwisko nie było mi obce. Ówczesny major dyplomowany Klimecki był bowiem znany już wśród starszych oficerów.

Miał piękną kartę bojową z czasów wielkiej wojny i naszej w latach 1918/20 jako dowódca kompanii i baonu. Ukończył chlubnie Wyższą Szkołę Wojenną w r. 1928.

Obdarzony pięknymi zaletami charakteru, dużą inteligencją i talentem nie mógł nie wywierać silnego wpływu na otoczenie w którym pracował.

Pamiętam naszą wspólną pracę wojskowo-wychowawczą w Wyższej Szkole Wojennej. Pamiętam liczne dyskusje nad kształtowaniem umysłów i charakterów przyszłych oficerów dyplomowanych. Żywo mi stoją w pamięci wspólne studia nad najistotniejszymi zagadnieniami przyszłej wojny — jej przygotowaniem i prowadzeniem.

We wszystkich tych pracach i w życiu codziennym jasno występowały jego wielkie wartości jako człowieka i żołnierza. Była to bowiem natura prosta i szczera.

Posiadał nieprzeciętne zdolności i dużą wiedzę. Odznaczał się śmiałością zamierzeń i decyzji, zdolnością przewidywania, jasnym i trafnym sądem. Do pracy przystępował z wielkim zapałem, energią i sercem. W postępowaniu był stanowczy i konsekwentny. Nie godził się na kompromis gdy chodziło o sprawę zasadniczą i słuszną. Miał głęboko rozwinięte poczucie obowiązku i odpowiedzialności.

Był gorącym patriotą i urodzonym żołnierzem. Kochał swój zawód całą duszą i sercem. Marzył o wielkości i potędze Polski i Jej Sił Zbrojnych. Bolał często nad tym, że nie wszystko szło tak, jak należało. Widział jasno co było złe i co domagało się zmiany i naprawy. Cieszyła go każda rzecz dobra i pożyteczna, każdy postęp.

Wiele czasu poświęcał studiom, gdyż w pełni doceniał znaczenie stałego rozwoju wiedzy wojskowej. Rozumiał on dobrze w jakim kierunku idą przemiany nowoczesnej myśli wojskowej. Zdawał sobie dobrze sprawę ze znaczenia i potęgi nowych broni. Obdarzony krytycznym umysłem i dużym poczuciem realizmu pola walki i zjawisk wojennych, miał przed oczyma wizję przyszłej wojny. Wyczuwał jej potrzeby i możliwości. W tym duchu kształcił i wychowywał swoich uczniów.

Z pod jego ręki wyszło szereg oficerów dyplomowanych. Wszyscy oni pamiętają zapewne ujmującą postać swego dzielnego i mądrego kierownika, profesora i serdecznego opiekuna, kolegę-dżentelmena. Słyszą jego mądre i głębokie w treści słowa. Przechowują we wspomnieniu jego zapał, dynamizm myśli, siłę argumentacji, realizm i wiarę.

Zwykły tok służby wyrwał go na jakiś czas z Wyższej Szkoły Wojennej. Poszedł na stage do linii. Był zastępcą dowódcy pułku i dowódcą pułku. Na stanowiskach tych udowodnił, że był nie tylko wybitnym oficerem dyplomowanym ale i pełnowartościowym dowódcą. W pułkach w których odbywał swą służbę był tak samo wysoko ceniony i gorąco kochany przez swych podkomendnych, kolegów i przełożonych jak w murach uczelni.

Tak bowiem być musiało. Miał wielki dar zjednywania sobie ludzi. Wszyscy, którzy go znali wyczuwali jego wartości — cenili go i kochali. Umiał chwytać za serca.

Po odbyciu stażu w linii powraca do uczelni. Pracuje ofiarnie i z poświęceniem. Przewiduje nadciągającą burzę.

Tuż przed wybuchem wojny 1939 r. zostaje powołany do Sztabu Głównego. We wrześniu pełni odpowiedzialną funkcję doradcy w sprawach operacyjnych. Pracy tej oddał całą swą wiedzę i doświadczenie. Niestety nie wiele mógł pomóc. Nie miał już wpływu na toczące się wypadki.

Po katastrofie wrześniowej przeżywa bardzo ciężkie chwile. Odczuł niezwykle głęboko tragizm Ojczyzny i Sił Zbrojnych.

Powaga wydarzeń wojennych i tempo ich rozwoju nie pozwalały jednak na jakąkolwiek przerwę w wytężonej pracy lub na osłabienie energii czynu.

W listopadzie 1939 r. powołany przez Naczelnego Wodza pułkownik dyplomowany Klimecki przybywa do Paryża i staje do pracy w Sztabie N.W. Zostaje Szefem Oddziału Operacyjnego. Wszyscy w Sztabie przeczuwaliśmy, że niedługo stanie na naszym czele. Wymagały tego potrzeby służby i sprawy.

Nadszedł drugi ciężki dla nas okres — klęska Francji. W dniach pełnych niepokoju i obaw co do przyszłości, w czasie bohaterskich i beznadziejnych walk naszych jednostek — płk. Klimecki przebywa na polu walki wraz z Naczelnym Wodzem. Powraca już jako Szef Sztabu N.W., by w ostatnim momencie kierować pracą Sztabu nad ewakuacją jednostek do Wielkiej Brytanii.

Jako Szef Sztabu Naczelnego Wodza poświęcił się całkowicie ciężkiej i trudnej pracy na tym stanowisku. Zdawał sobie dobrze sprawę z ważności swego zadania i odpowiedzialności. Praca, którą miał do wykonania była ogromna. Chodziło przecież o odbudowę, organizację, wyszkolenie i przygotowanie do boju nowych jednostek. Znając dobrze braki i niedomagania naszej dawnej organizacji i wyszkolenia z całą energią dążył do ich usunięcia. Walczył z trudnościami, przezwyciężał liczne przeszkody. Nie zrażał się niepowodzeniami i przykrościami, których nie szczędziło mu życie. Gdy chodziło o sprawę słuszną walczył z uporem.

Cieszył się całkowitym i pełnym zaufaniem Naczelnego Wodza, który cenił bardzo wysoko swego Szefa Sztabu. Płacił za to zaufanie wrodzoną żołnierską lojalnością i całkowitym oddaniem.

Ś.p. Generał Klimecki był człowiekiem skromnym i szlachetnym. Pamiętam jak to było z jego awansem na generała. Skoro dowiedział się o takim zamiarze, kilkakrotnie prosił Naczelnego Wodza, aby go nie awansował. Tłumaczył, że na awans ten nie zasłużył, że jest za młody, że są starsi od niego i bardziej zasłużeni. Podkreślał, że ciężko mu będzie po powrocie do kraju stanąć z otwartym czołem wobec starszych kolegów z niewoli i tych z Kraju, którym bardziej — zdaniem Jego — awans się należy. Potrzeby służby wymagały jednak jego awansu. Naczelny Wódz nie mógł się zgodzić na prośbę swego Szefa Sztabu. Na specjalnej odprawie wyższych dowódców i starszych oficerów Sztabu ogłosił awans na generała wyjaśniając powody, które go do tego skłoniły. Był to niezwykły sposób ogłoszenia awansu. Szef Sztabu został całkowicie zaskoczony.

Serce ciągnęło go do służby w linii. Marzył o tym, by znowu znaleźć się na stanowisku dowódcy.

Tragiczny wypadek w nocy z 4 na 5 lipca w Gibraltarze przerwał pasmo jego pracowitego i ofiarnego żywota.

Ś.p. Generał Klimecki zginął śmiercią żołnierską, na posterunku. Ubył z naszych szeregów w chwili, gdy najbardziej był potrzebny, gdy tyle nadziei i wiary łączyliśmy z jego osobą. Nie danym mu było dokończyć dzieła i dożyć radosnego dnia triumfu naszej wielkiej sprawy. Głęboki i serdeczny żal napełnia nasze serca na myśl o tym, że nie ma go już między nami.

Ale nie wszystko umiera. Pozostawił nam cenny drogowskaz i piękny wzór do naśladowania. Wskazał jak należy żyć i pracować dla Ojczyzny. Nie zapomnimy o tym.

Cześć Twojej pamięci Kochany Generale!

MIECZYSŁAW SULISŁAWSKI

Ś.p. pułk. dypl. Andrzej Marecki

W tragicznej katastrofie u stóp Gibraltaru oddał swe życie dla sprawy wybitny oficer naszego Sztabu.

Szef Oddziału Operacyjnego i jeden z najbliższych współpracowników Naczelnego Wodza, już od wczesnej młodości poświęcił się zawodowi wojskowemu. Jako młody oficer, mając 20 lat, zdobywa w czasie wojny polsko-rosyjskiej krzyż Virtuti Militari. W latach późniejszych poświęca się wyższym studiom wojskowym, po ukończeniu których i po odbyciu odpowiednich staży zostaje sam wykładowcą w Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie. Na kilka lat przed wojną przechodzi do oddziału Sztabu Głównego.

Oprócz codziennych zajęć w Sztabie, kontynuuje bez przerwy pracę nad sobą. Studiuje zagadnienia taktyczne i operacyjne, a jako oficer artylerii, interesuje się specjalnie postępem i ulepszeniami w dziedzinie współpracy artylerii z broniami wspieranymi.

Już wówczas cechuje go powaga w podejściu do zagadnień wojskowych i ostrożność w wypowiadaniu sądów. Cecha ta staje się później jego zasadą. Pułkownik Marecki rzadko zabierał głos w dyskusjach ale ilekroć to czynił zawsze mówił spokojnie i z głęboką znajomością rzeczy.

W czasie kampanii wrześniowej pracował w oddziale operacyjnym Sztabu, a we Francji był kierownikiem polskiej grupy oficerów w Ecole Supérieure de Guerre, a w czasie działań oficerem łącznikowym Naczelnego Wodza do Sztabu Francuskiego.

W 1940 roku został mianowany Szefem Oddziału Operacyjnego w Sztabie N.W.

Po przybyciu do Anglii ,przyczynia się w wysokim stopniu do otwarcia pierwszego na obczyźnie kursu polskiej Wyższej Szkoły wojennej i sam zostaje jej kierownikiem.

Będąc oficerem dyplomowanym o wielkiej wiedzy i posiadając wrodzone zdolności wykładania— pułkownik Marecki staje się doskonałym wzorem dla słuchaczy Szkoły. Będąc szefem oddziału w Sztabie i prowadząc kurs W. S. Woj., znajduje jeszcze czas na prowadzenie miesięcznika wojskowego "Bellony." Jako główny redaktor dokłada wszelkich starań aby "Bellona" informowała ogół oficerów o najnowszych postępach w dziedzinie wojskowej.

W 1943 roku, kiedy Wyższa Szkoła Wojenna jest już w Szkocji, pułkownik Marecki kilkakrotnie wizytuje słuchaczy szkoły, podkreślając zawsze w swych przemówieniach olbrzymie znaczenie głębokiej i gruntownej wiedzy, spokojnej oceny faktów i bardzo ostrożnego i sumiennego wyciągania wniosków.

Kiedy po raz ostatni był w Szkole, aby przyjrzeć się pracy przyszłych pracowników Sztabu, powiedział słowa: ". . . na polu walki i w ogniu nieprzyjaciela, bardzo często dowódca i jego sztab staje w obliczu tego, co możnaby nazwać kryzysem bitwy. W takich momentach, jak zresztą często i w życiu cywilnym, tylko głęboka znajomość rzeczy, duża wiedza i wystrzeganie się emocjonalnych odruchów — zapewnia dowódcy i oficerom jego sztabu, pełne opanowanie sytuacji i skupienie całego wysiłku w kierunku właściwym."

Były to słowa, które pozostaną na długo w pamięci słuchaczy. Wypowiedziane przez najbliższego współpracownika Naczelnego Wodza i wybitnego oficera Sztabu, stały się one niemal drogowskazem dla następców.

—I dlatego dzisiaj Pułkowniku Marecki, kiedy ostatni apel żołnierski masz już poza sobą, i kiedy swymi mądrymi i spokojnymi oczyma patrzysz na tych, którzy tu pozostali — możesz być pewien, że byłeś dla nas wzorem oficera dyplomowanego i takim wzorem nadal pozostaniesz.

KAMIL BOGUMIŁ CZARNECKI

Adiutant morski N. W.

Nazywał się Ponikiewski Józef. Urodzony w Brylewie Wielkopolskim w listopadzie 1916 roku, gimnazjum ukończył w Gostyniu. Jak wielu młodych — ciągnęło go morze . . . Dziedzina w Polsce nowa, ogrom możliwości twórczych dająca, pionierska, jeśli tak rzec można bez wielkiej frazeologii.

Dostać się do szkoły podchorążych marynarki wojennej nie jest rzeczą łatwą. Ale zapał triumfuje nad surowymi warunkami konkursu . . . Bo trzeba wiedzieć, że jakkolwiek chętnych do poświęcenia się zawodowi wojenno-morskiemu nie brakło, to jednak skromne ramy naszej marynarki mogły przyjąć tylko najwybitniejszych kandydatów.

W lipcu 1935 roku Ponikiewski wkłada upragniony strój marynarza. Trzy lata i dwa miesiące trwa nauka, urozmaicona pływaniami szkolnymi w czasie których podchorążowie przechodzą twardą szkołę zaprawy morskiej. Aż wreszcie 15 września następuje uroczysta promocja na podporuczników marynarki wojennej. Ponikiewski zajmuje jedno z pierwszych miejsc, jako jeden z najzdolniejszych.

Złote epolety i szabla oficerska nie są w marynarce prerogatywą. To tylko symbol trudnego i szczytnego obowiązku. Następują kursa aplikacyjne, pływanie na "Wilii," doskonalenie się w zawodzie i specjalizacja. W maju 1939 roku przydział na O.R.P. "Grom" w charakterze III oficera artylerii.

"Grom" już od dwóch i pół miesiąca jest w gotowości bojowej, bo na wybrzeżu wszyscy zdają sobie sprawę, że wojna wybuchnąć może lada chwila. Ćwiczenia i patrole nie pozwalają na chwilę wypoczynku. I wreszcie sygnał — "Wykonać Pekin" — nakazuje "Błyskawicy," "Gromowi" i "Burzy" w dniu 30 sierpnia stanąć u boku *Royal Navy*.

1 września "Grom" jest w Anglii. W siedem dni później rozpoczyna swą działalność bojową z *Royal Navy*. Ponikiewski pełni obowiązki oficera wachtowego. Warunki życia na okręcie są ciężkie, to też w końcu zapada na zdrowiu. W lutym 1940 schodzi czasowo na ląd, by szkolić napływających zewsząd marynarzy i ochotników. Ciągną oni wślad za banderą ze wszystkich stron, poprzez granice, druty kolczaste i morza . . .

Ale przydział lądowy nie odpowiada temperamentowi młodego oficera. W listopadzie przechodzi do grupy ścigaczy — tam właśnie gdzie służba najcięższa i najtrudniejsza — poza jednymi chyba okrętami podwodnymi. Zdrowie mu nie dopisuje. W marcu 1941 znów schodzi na ląd. Pracuje dla służby i pracuje nad sobą. Uzupełnia znajomość angielskiego, wgłębia się w sztukę nowoczesnej wojny na morzu. W maju otrzymuje awans na porucznika. A później przydział do Gabinetu Naczelnego Wodza w charakterze oficera ordynansowego.

Jeszcze raz próbuje wrócić na morze. Prosi Generała Sikorskiego, aby mu zezwolił służyć na okręcie. Tyle w prośbie tej jest szczerego zapału i ducha bojowego, że Naczelny Wódz zwalnia go chwilowo z obowiązku adiutantowania. Ponikiewski zostaje dowódcą ścigacza "S2."

Kilka miesięcy, i to znów w okresie zimowym, pływa Ponikiewski na wodach dzielących Anglię od Francji. Wodach pełnych zasadzek i niebezpieczeństw. Wódz Naczelny wzywa go wkrótce z powrotem. W listopadzie 1942 Ponikiewski obejmuje ponownie funkcję adiutanta morskiego N.W.

Na tym stanowisku zastaje go dzień 4 lipca 1943. Ginie w morzu, śmiercią marynarza, towarzysząc w tej ostatniej podróży Naczelnemu Wodzowi . . .

Zostawia w Anglii brata i narzeczoną, oraz grono kolegów, którzy kochali go i cenili. Zostawia też kilka prac z dziedziny marynarki wojennej. Może ujrzą kiedyś światło dzienne.

Wielu, wielu ludzi ginie w tej wojnie, rozwodzić się więc nie należy nad śmiercią jednego. A jednak żal tego młodego życia, tak obiecującego i pożytecznego . . . dla Polski.

JULIAN GINSBERT

Naczelny Wódz gen. Sosnkowski na pogrzebie w Newark



W piekle obozów koncentracyjnych

II.*

Ranny chłód nie rozprasza się, lecz wzmaga. Niebo pociemniało, zniżyło się tuż ku ziemi, nie ma nadziei na słońce, natomiast zaczyna padać drobny, przenikliwy deszcz. Kapie na obnażone czaszki, spływa za kołnierz, gdzie jest siedlisko wszy, cieknie po plecach, przesiąka ubranie z drzewnej tkaniny. Wielu przeziębionym ten deszcz pomoże do szybszego odmeldowania się na tamten świat. Właśnie dyżurni przenoszą obok szeregów tych, którzy zmarli tej nocy. Trupy są obnażone, ubranie już dostał ktoś inny. W Dachau i Oranienburgu zmarłym uczepiają u wielkiego palca lewej nogi kartkę z numerem porządkowym. W Oświęcimiu system jest prostszy: sztubowy pluje na pierś trupa i ołówkiem chemicznym wypisuje na nim numer i jazda do krematorium. Przed wrzuceniem zwłok do pieca numer zostanie wciągnięty do ksiąg.

Strasznie wyglądają zmarli. To nie ciała, lecz szkielety obciągnięte schorzałą, zaropiałą skórą. Kości miednicowe sterczą, jakby wywrócone lemiesze pługów. Rzepki kolan wyskakują rażąco na zewnątrz, uda są cieńsze od łydek. Lecz na stojących chudość przestała robić wrażenie. Wszak pod luźnym ubraniem każdy wygląda tak samo.

Lekarze-więźniowie określili już normy ludzkiej wytrzymałości: przeciętnie zdrowy mężczyzna, w średnim wieku, może wyżyć w Oświęcimiu 3 miesiące. Młodzi od 15 — 20 lat /przywożą ich dużo/ i starcy ponad 60 lat nie wytrzymują dłużej nad tydzień — dwa. Wyjątkowo mocni fizycznie i duchowo osobnicy, obdarzeni wolą przetrwania i zasobem sił mogą przeżyć w obozowych warunkach maksimum rok. Jest zatem różnica między piekłem a Oświęcimem, gdyż piekło trwa ustawicznie.

W osobnym szyku stoją rekruci świeżo przybyli, przebywający okres t.zw. kwarantanny, i są najnieszczęśliwsi ze wszystkich. Zachowali jeszcze normalną, ludzką wrażliwość i nie zdążyli się oswoić z miejscowym trybem życia. Do obłędu doprowadza ich nieustanne, niczym nie spowodowane bicie po twarzy, po głowie, kopanie, poniewieranie, ulewa najdotkliwszych razów, towarzysząca wściekłym i niezrozumiałym wrzaskom.

W związku z rzekomą kwarantanną nie są używani do pracy. Żadna to jednak ulga, gdyż zamiast pracy odbywają wielogodzinne ćwiczenia gimnastyczne, stosowane w ten sposób, by jak najrychlej uśmiercić słabszych. Gdy starszy człowiek, inteligent o niewyrobionych mięśniach, zmuszony jest kilkaset razy z rzędu powtarzać "żabkę" lub "padnij, powstań" — to można śmiało wnioskować, że rodzina danego profesora, księdza, czy prawnika otrzyma zawiadomienie o jego zgonie na długo przed skończeniem okresu kwarantanny.

Naszyte na ubranie czerwone kółka oznaczają karny batalion. To skazańcy. Żaden z nich nie wyżyje dłużej niż miesiąc. Osobno również zebrani są księża, poddani najsroższemu traktowaniu, odkomenderowani do najcięższych, najobrzydliwszych robót. Niezależnie od pracy dozorcy wysilają się, by im dokuczyć. Zmuszają do śpiewania bluźnierczych pieśni, wykonywania dziwacznych przysiadów, wdziewania błazeńskich czap.

Lecz baczność! Oto zbliżają się oprawcy. Gromada młodych, wyłącznie młodych, świetnie odżywionych byków niemieckich, Esesów. Wyspali się, najedli i śpieszą katować ludzi. Czują ku temu nieprzeparty pociąg, potrzebują tego, jak palacz papierosa, jak erotoman kobiety. Sami nałogowcy, sadyści, nie ma wśród nich ani jednego normalnego człowieka, nie zboczeńca. Lubownicy mordu. Rysy ich utrwaliły się w odrażającą maskę, niezdolną przybrać ludzkiego wyrazu. Podobnie niedostępny jest dla nich spokojny, naturalny dźwięk głosu. Żyją w stanie nieustannego podniecenia. Pijak nie ma nigdy dość wódki, morfinista morfiny, podobnie oni nie są nigdy syci potwornej podniety zadawania męki. Rozkoszą wymyślanie nowych tortur, studiowanie najboleśniejszych uderzeń, obserwowanie siniejących z bólu ust, słuchanie jęków. Jęk i strach są konieczne, aby sadysta był zadowolony. Dlatego duma ofiary, obojętne jej milczenie doprowadza ich do wściekłości. Wtedy zapamiętują się, biją aż do śmierci, byle opornych zmusić do krzyku.

Sadystyczne zwyrodnienie jest stare jak szatan i zdarzało się zawsze. Znany był w dziejach Bazyli Bułgarobójca, Gilles de Retz morderca dzieci. Anna Bathory morderczyni dziewcząt, Landru morderca kobiet. Po raz pierwszy jednak zdarzyło się, aby całe pokolenie danego narodu popadło w ten straszny i nieuleczalny obłęd. Całe pokolenie! Jak się to stało? Dlaczego? Każdy z tych oprawców był nie tak dawno jeszcze dzieckiem normalnym i wesołym, być może miłym, które pieściła i całowała matka. Olbrzymia większość z nich była chrzczona. Wraz z Sakramentem spłynęła na nich Łaska, ktoś w ich imieniu odrzekał się szatana i spraw jego. Mocą tego wyrzeczenia i Łaski stali się jak każdy prawy chrześcijanin, złożonymi nie tylko z duszy i ciała, lecz z duszy i ciała Ducha św. Gdzież się te wszystkie dary, te zapowiedzi, te talizmany podziały? . . . Jak się to stało, że z Synów Bożych stali się dziećmi Szatana? Ano, drapieżność mieli we krwi i rasie. Chrześcijaństwo okiełznało tę drapieżność, lecz nie zdołało wytępić jej całkowicie. Drzemała pod cienkim nalotem etyki, czekając odpowiedniej pory.

Ta pora nadeszła z przyjściem do władzy Adolfa Hitlera. Wprawdzie już dawno najwybitniejsi przedstawiciele narodu niemieckiego, Bismarck, Hegel, Nietzsche głosili prawo niemieckie do panowania nad światem i wyższość nad innymi narodami, szczególnie nad rasą słowiańską, dopiero jednak Hitler poglądy te usystematyzował i zrealizował. Przyjmując i uwielbiając wodza, młodzież niemiecka przyjęła bez zastrzeżeń jego naukę. Uwierzyła, że człowiek mocny to jest człowiek zły, że litość, miłosierdzie, współczucie to śmieszne przejawy mazgajstwa, że Niemiec jest panem, a inni to jego przyrodzeni słudzy, że prawo do życia obcych narodów równe jest prawom wołu, wiedzionego do rzeźni. Wół istnieje po to, by swym mięsem karmił człowieka. Obcokrajowiec, szczególnie Słowianin, stworzony jest po to, by żywił Niemca. Reszty przewrotu dokonały szkoły, owe osławione Burgi, oparte na szpiegostwie, donosicielstwie, okrucieństwie i nienawiści do wszystkiego, co nie jest narodowo-socjalistyczne. Szkoły, w których młodzież przymusowo asystuje przy pokazach wiwisekcji, by zobojętniała na cierpienie cudze, w których młodsze obecne roczniki używane są do oklaskiwania kata przy egzekucjach Polaków, lub rozstrzeliwania jeńców bolszewickich. Planowa hodowla dziczy nie mogła dać innego rezultatu niż ten, na który ze zgrozą spogląda świat: całe pokolenie niemieckie nieuleczalnie znieprawione, wynaturzone, pokolenie okrutników, a zarazem tchórzów nieuczciwych i przekupnych, śmiałych tylko wobec bezbronnych.

Czy na to nie ma ratunku? . . . Zdaje się, że nie. Jeden z wielkich mistrzów pędzla, Breughel, w znanym całemu światu obrazie, przedstawił walkę archanioła ze zbuntowanymi aniołami. Już ich pokonał, już lecą lawiną w dół. I, o Boże, spadając przeistaczają się w larwy. Jeszcze przed chwilą były to duchy piękne, świetliste — obecnie przybierają postać obrzydłych maszkar, płazów, gadów, nietoperzy. Jeszcze lśnią na nich szczątki dawnej krasy, jeszcze gdzieniegdzie motyle skrzydła drżą przy spoczwarniałym tułowiu, ślady te jednak nikną i otchłań przyjmuje do swojego wnętrza już tylko szkarady . . . To pycha i zrodzona z pychy nienawiść dokonały tej przemiany, straszliwszej niż wszelkie pomysły Owidiuszowe. Pycha i z pychy zrodzona nienawiść, nie więcej, wystarczyły by piękno zmienić w obrzydliwość, światło w ciemność, wzlot w upadek.

Ta sama przemiana dokonała się na naszych oczach w narodzie niemieckim.

Aniołowie już zbuntowani już nie powrócą do dawnego kształtu. Są potępieni. Utracili własnowolnie rzecz zasadniczą: pragnienie Dobra. Odcięli sobie drogę do powrotu. Jesteśmy świadkami, jak Niemcy usilnie planowo niszczą w sobie ten sam boski instynkt — tęsknotę za Dobrem. Chcą być złymi. Odcinają sobie drogę do powrotu.—

* * *

Apel dobiega końca. W międzyczasie kilku chorych, leżących na ziemi, umarło. Normalna rzecz, zdarzająca się przy każdym apelu. Przeciętna śmiertelność dzienna obozu wynosi 300 ludzi latem, a 500 zimą, gdy panują mrozy. Normalne jest również, że z szeregu wyrywa się młody więzień o szczupłej, milczącej twarzy i, słaniając się z wyczerpania na nogach, podbiega kolejno do trupów. Kapowie tłuką go i wrzeszczą: — on nic. Niby pomaga zmarłych odsuwać, niby usłużnie ofiarowuje swoją pomoc przy zdjęciu ubrania /dozorcy ściągają odzież nieraz przed zgonem, nim ciało zastygnie/, mnoży się w usiłowaniach, by nachylić się nad każdym. Kto zacz ów więzień? — wariat, nekrofil? — Nie, to ksiądz, który umierającym daje absolucje. Ksiądz Peplau — rychły męczennik.

Apel skończony. Kilku więźniów zostaje na placu ciężko, śmiertelnie pobitych i pokopanych za to, że na zapytanie nie odpowiedzieli dość szybko, głośno i sprawnie. Teraz oddziały odchodzą do wyznaczonej pracy. Przygrywa im orkiestra złożona z więźniów. Orkiestra kościotrupów przygrywająca upiorom skoczne melodie. Prace są różne. Nieliczni szczęśliwcy, uprzywilejowani przez los, otrzymują przydział do kuchni, do obierania ziemniaków. Siedzą w cieple pod dachem, mają możność zjadania ukradkiem obierzyn. W prawdzie surowe i zapiaszczone obierzyny powodują krwawą biegunkę, lecz trudno o tym pamiętać, gdy głód targa wnętrzności. Równie szczęśliwi są zatrudnieni przy chlewach, obrządzający świnie, owce, króliki. I tu można coś niecoś złasować z koryta. Zwierzęta są dobrze żywione, a przytym nie zdradzą . . . Czasem trafia się padlina . . . W ub. miesiącu więźniowie zjedli na surowo świnię padłą na czerwonkę. Praca w polu nie daje tych korzyści, nie mniej jednak uchodzi za uprzywilejowaną. Sam fakt, ze można wyjść poza obręb znienawidzonych płotów, drutów, budynków, że nad głową ma się szeroki horyzont, a w oddali widnieją błękitne garby Beskidu śląskiego, stanowi pewną pociechę. Ucieczka jest niemożliwa, można sobie jednak roić, że a nuż się uda . . . Byli tacy co próbowali. Karabin maszynowy przerwał szybko ich bieg ku wolności. Dla postrachu ciała nie zostały pochowane i spalone. Leżały długi czas na polu, rozwłóczyły je psy. Raz tylko wiosną 1941 roku zdarzył się wypadek udanej ucieczki z Oświęcimia. Więzień zbiegł przez podkop. Sam podkop wykonał, egoistycznie sam zbiegł. Nie schwytano go. Lecz wszyscy pozostali więźniowie stali na dziedzińcu w karnym apelu przez 36 godzin . . . Kilkuset ich wtedy zmarło.

Kuchnia, chlew, pole — wyczerpują całkowicie marzenia oświęcimiaków. Wszystko poza tym stanowi tylko piekielną udrękę. Praca przy wznoszonej opodal obozu fabryce gumy syntetycznej nie jest mniej zabójcza od ciągnienia wału. Każdy zna wały, szosowe, wielotonowym ciężarem ugniatające nawierzchnie, ciągnione przez motor parowy lub Diesla . . . W Oświęcimiu rolę motoru spełniają więźniowie. W miejsce mechanika na szczycie wału siada Kapo, czyli dozorca, uzbrojony w potężny bykowiec. Kilkudziesięciu więźniów ciągnie z przodu, kilkudziesięciu popycha machinę z tyłu. Rzężą przy tym z wysiłku, padają bez tchu. Gdy padną, bykowiec razi ich niemiłosiernie. Bodaj, czy nie gorszym od bykowca jest ostry, drobny, granitowy żwir, w którym grzęzną bose nogi. Ten żwir obdziera stopy ze skóry, powoduje głębokie, trudne do zagojenia rany.

Gdy jedni więźniowie mozolą się z wałem, drudzy przewożą ziemię taczkami. Ciężar przepisowy taczki wynosi 170 kg ziemi, po nałożeniu pracujący ustawiają się piątkami i na dany znak obowiązani są ruszyć biegiem. Taczka jest b. ciężka, mało kto zdoła z nią biec. Ci którzy się opóźniają, otrzymują niemiłosierne razy. Biada szczególnie tym, którzy upadną. Kilka potężnych kopnięć dokonywa ich żywota.

Jeszcze inne grupy więźniów kopią doły. Kopią z pośpiechem, popędzani bezlitośnie, kopią precyzyjnie, baczni, by na włos nie odstąpić od przepisanej miary szerokości i głębokości. Wiedzą zaś, że doły te nie są nikomu na nic potrzebne. Kopali je już nie raz. To tylko sposób zatrudnienia. Za parę dni z równym pośpiechem, równie dokładnie będą zmuszeni zasypywać to, co dzisiaj wykopali.

Podobną rolę spełniają kamienie, złożone w pewnym kącie dziedzińca, a które trzeba przenieść w przeciwny koniec, by potem znów odnieść i tak po wielekroć razy. Kamień, rzecz martwa, bezduszne okrąglaki, przytaszczone przez wodę z gór. A przecież zdaje się, jak gdyby pod tylokrotnym dotknięciem mdlejących, skrwawionych dłoni, kamienie te stały się miękkie i współczujące. Bo głaz może być lepszy od ludzi.

W bezmyślnej swej wędrówce kamieniarze przechodzą w pobliżu miejsca, gdzie wymierzane są kary. Bo myliłby się, kto by wnosił, że ciągłe, okrutne, śmiertelne bicie jest karą. Bynajmniej! Bicie to tylko środek wychowawczy, to metoda. Bicie to nic. Kara to co innego. Karę wymierzają władze regulaminową za wszelkie zauważone uchybienia. Kary są różne. Ciemnica, tak ciasna, że się poruszyć nie można, połączona z zupełną głodówką. Polewanie wodą z hydrantu trwające od 15 minut do 1,5 godziny. Sroga kara zwłaszcza, gdy stosowana jest w zimie. Nieuchronnie wtedy kończy się śmiercią delikwenta. Latem też ona nie lepsza. Od siły uderzenia wody, kierowanej z bliska w pierś zdarza się, że serce ustaje, powodując natychmiastowy zgon; uderzenie w twarz wywołuje ślepotę przez porażenie gałek ocznych. Najcięższe kary to chłosta /prawie zawsze śmiertelna/ i "słupek." Skazaniec wisi na wyłamanych w tył, przywiązanych do słupa rękach, nogami nie dotykając ziemi. Męka to nieopisana i zdarza się, że silni mężczyźni cały czas wyją z bólu. Słabsi mdleją szybko i zapadają w bezczucie. Lecz są jeszcze inni, co niezależnie od silnej lub słabej kompleksji fizycznej znoszą torturę w milczeniu, przytomni lecz cierpliwi. Ich wargi drżą modlitwą, oczy szukają nieba. To ci, których aktywna istotna religijność każe przyjąć ochoczo męczeństwo, których radością napełnia, że cierpią podobnie jak Chrystus, którzy łączą się z Nim, ofiarowując Mu mękę swoją i otaczających. Są szczęśliwi, czują Boga tuż koło siebie. Wiedzą, że cierpienie ma swój sens, że jest potrzebne, że przetworzyć je można na bezcenny skarb zasługi, złożyć jako okup za innych, że można zań wszystko uprosić, nawet przyśpieszenie wyzwolenia kraju. Jakże by się więc skarżyli? Zdarza się, że umrą wisząc na męczeńskim słupie. Wtedy aniołowie wychodzą naprzeciw nich.

Niech będą błogosławieni. Ich ofiara to jedyna Msza, jaka się z tego terenu ku Bogu wznosi. Gdzie rządzą synowie piekła — modlitwa jest zabroniona. Zakaz przestrzegany z zawziętością i wściekłością. "Tu wolno modlić się tylko do diabła"! — Ten ulubiony slogan Esesów powtarzać się będzie jak obsesja w każdym niemieckim obozie koncentracyjnym. Biją za wszystko — najsilniej jednak za znak krzyża, za gest modlitewny . . . Tu wolno modlić się tylko do diabła. To zrozumiałe! — Modlitwa jest stwierdzeniem obecności Boga. Bóg zaś — to sprawiedliwość, to pomsta i kara. Słudzy szatana nie mogą uznać istnienia Boga, gdyż wydaliby wyrok na siebie samych. Wmawiają więc sobie i drugim, że Go nie ma.

Pozbawienie prawa modlitwy uświadamia dopiero teraz więźniom, co stracili. Na wolności niewiele uwagi poświęcali religii i życiu duszy! Dla jednych te sprawy nie istniały wcale, innym wystarczały szczupłe bardzo dawki. Przeważnie religia była dla nich miłym, tradycyjnym nawykiem więcej, niż rzeczywistą potrzebą. Za to teraz, jeżeli wyjdą z kaźni żywymi, nigdy już sądzić podobnie nie będą. Byli w piekle, zatem potrafią ocenić Niebo. Głębokim przeżyciem było dla nich łaskawie udzielone na Boże Narodzenie 1940 r. pozwolenie . . . przeżegnania się. Zebrani blokami więźniowie stali kołem, każdy ściskając w ręku okruch suchego chleba, urwanego z głodowej racji dziennej, a mającego zastąpić opłatek. Po czym równocześnie, zwolna, uroczyście podnieśli ręce i uczynili znak Krzyża na czole, ramionach i piersi. Westchnęli głęboko. Tak mało, a tak wiele!! Znak Krzyża . . . Ile razy czynili go bezmyślnie, odruchowo, automatycznie, dalecy od świadomości właściwego sensu gestu, pozornie tak zwyczajnego, co jak błyskawica sięga od wschodu do zachodu, a niby piorun spadający z góry na dół, łączy niebo z ziemią.

Deszcz pada uporczywie przenikliwy. Godziny mijają powoli, wolniej, niż wyczerpujące się siły. Baty świszczą coraz częściej, coraz częściej rozlega się ochrypły wrzask dozorców. Od czasu do czasu w obrębie obozu rozlega się pojedynczy strzał. Nikt nie odwraca głowy, wiedząc co to znaczy. Zastrzelono kogoś. Za co? . . . Nie wiadomo. Może "postawił się," może kazano mu bić kolegów i odmówił. Esesman wyjął z kieszeni rewolwer i zastrzelił opornego. To powszednia rzecz. Nareszcie południowy posiłek. Menażka zupy z brukwi, lub kapusty, doszczętnie pozbawionej tłuszczu. Po zjedzeniu menażkę można bez trudu wymyć zimną wodą pod pompą. Po obiedzie mycie podłogi w sypialniach. Zabieg niby sanitarny, w rzeczywistości przyśpieszający gnicie sienników leżących na mokrej podłodze, a mający na celu zajęcie więźniów w czasie, gdy dozorcy wypoczywają po swoim sutym obiedzie. Po czym znów szydercze dźwięki orkiestry i wymarsz do pracy. Dziś jest w niej przerwa. Na głównym placu w obecności wszystkich więźniów wymierzana będzie kara chłosty za usiłowanie ucieczki. Dwanaście tysięcy ludzi musi być świadkami śmierci towarzysza. "Pechowiec — szepcą do siebie — wiadomo, że uciec nie zdoła, ale mogli go zastrzelić od razu, mógł skoczyć na druty" . . . — Pośrodku czworoboku więźniów ustawiono stół, rodzaj szafotu. Oprawcy wprowadzają nań pechowca. Zwyrodniała wyobraźnia niemiecka kazała ustroić go w dziwaczną papierową czapę. Za kołnierz wsunięto skazańcowi drąg, na drągu tabliczka z szyderczym napisem: "Jestem znów tutaj." Jest tutaj istotnie, za chwilę jednak będzie gdzie indziej, zamelduje się innym władzom. Egzekucja krótko trwa. Zatłuc na śmierć jednego, na pół żywego człowieka, nie zajmuje wiele czasu sześciu rosłym, wprawnym w ten proceder drabom. Oddziały wracają do roboty. Znów biegną pędem z taczkami, odnoszą kamienie tam, skąd je przedtem zabrali, zasypują doły wykopane z rana, drżą z chłodu i wilgoci, omdlewają z głodu, słaniają się ze zmęczenia. Na to popołudnie dozorcy obmyślili jeszcze dodatkową rozrywkę. Większość więźniów cierpi na biegunkę i nie może utrzymać w sobie pokarmu. Kapowie nie pozwalają im oddalić się dla wypróżnienia. Ze śmiechem obserwują udrękę chorych. Zresztą nie omieszkają za chwilę skopać ich za zanieczyszczenie ubrania i zwymyślać od niechlujnych bydląt.

---

* Poř. pierwszą część cyklu druk. w nr. 30 "Polski Walczącej."

Także walka z Niemcami

Były to jeszcze czasy, kiedy nasz zachodni sąsiad świeżą przyjaźń z nami, potrzebną i pożyteczną dla jego ówczesnych politycznych i wojskowych zamiarów względem Europy, wszystkimi środkami podtrzymywał i rozwijał. Rok 1935. Przyjmujący polskiego dziennikarza Goebbels przystroił się we wszystkie czary uśmiechów i komplementów i dosłownie uwodził /w intelektualnym sensie tego pojęcia/ przedstawionego mu w przejeździe przez Berlin gościa. Specem od prasy zagranicznej był u niego słynny "Putzi" Hanfstaengel, wychowany w Ameryce wyznawca Hitlera, jedyny może prawdziwy cygan w jego najbliższym otoczeniu, który grą na fortepianie umilał i uprzyjemniał wieczory dyktatora, czułego ogromnie na lekką liryczną muzykę.

Jedna jeszcze była racja, dla której Putzi był faworytem Führera, choć był zarazem jakby "*enfant terrible*" reżimu. Po nieudanym puczu monachijskim w roku 1923 /w Niemczech opowiadali, że oddziałem, który strzelał do nazistowskich demonstrantów, dowodził porucznik Rommel, dzisiejszy marszałek/Hitler ukrywał się czas jakiś i z dobrym skutkiem w szafie z sukniami panny Hanfstaengel, siostry Putzi'ego. Odwracają się zabawnie dzieje ludzkich przeznaczeń, przekonań i namiętności: Hanfstaengel, wygryziony przez Goebbelsa, pomaga dzisiaj podobno w propagandzie antyniemieckiej waszyngtońskiego Departamentu Stanu; ale nie to chcę powiedzieć.

Punktem wyjścia tego artykułu ma być ten projekt ówczesny, o którym opowiadał mi Putzi — a który polegał na zebraniu wszystkich dowcipów, robionych na temat Hitlera w prasie niemieckiej i zagranicznej przed dojściem Führera do władzy — i rzuceniu tego zbioru z wzniosłym uśmiechem i gestem, niby ochłap wzgardy i wyższości społeczeństwom sąsiadów i wrogom we własnym kraju. Kierował się może tą Balzac'owską zasadą, wyrażoną blisko sto lat temu, a tak aktualną: —*En France on ne rit que des choses et des hommes dont on s'occupe, et personne ne s'occupe de ce qui ne réussit pas.*

Ale Niemcy to nie Francja. Czy potrzebuję dodawać, że się wspomniany zbiór nigdy nie ukazał? Jednym z zarzutów, stawianych nowemu reżimowi niemieckiemu to ten charakterystyczny brak poczucia humoru, jaki cechuje rasę, pogłębiony jeszcze wagnerowską wzniosłością ceremoniału, jaki narodowi narzuciła partia. Nie ma w nim miejsca na uśmiech, a śmiech jest dopuszczalny tylko jako źródło siły: *Kraft durch Freude*. Poczucie dowcipu jest wśród nich równie ciężkie, jak ciężki jest but żołnierza i jego krok paradny, najbardziej sztywny, tępy i tupiący ze wszystkich armii świata.

Zmieniły się czasy. Tolerancja, jaką na początek kokietowano jeszcze niedobitki intelektualistów, pisarzy i satyryków, ustąpiła miejsca wyraźnemu prześladowaniu każdego objawu szyderstwa i satyry, persyflażu i żartobliwości, jakimi człowiek wolny bronił się jeszcze przed grożącą automatyzacją, przed zrównaniem z masą powolnych pionków w ręku partii.

Ale nawet wśród ludu niezdrowo było pozwolić sobie na humor. Przekupnia, który zalecał swój towar wołaniem: *Hering, so fett wie der Goering* /Śledź tak tłusty, jak Goering/, skazano n.p. na dwa tygodnie więzienia, po czym wołał już tylko "*Hering — so fett wie . . . for zwei Wochen*" — Śledź, tak tłusty, jak przed dwoma tygodniami. Nawet ryzyko kary nie potrafiło zabić w nim widocznie wrodzonej potrzeby prowokacji, która często jest sednem dowcipu.

"Simplicissimus," jak kiedyś "Cyrulik Warszawski," pozbawiony żądła zdrowej satyry, został w imię "wyższych interesów narodu" zlikwidowany.

Ale oto dowcip, ongi tylko wytwór i wykwit nieskrępowanej fantazji, mieniąca się wesoło pianka wolnych umysłów, przekształcił się pod wpływem zakazu i pod ciśnieniem prześladowania w narzędzie walki, walki przeciwko partii w Niemczech. W krzywym zwierciadle satyry, przekornego skrótu karykatury, przez celowe zniekształcanie puszącej się i panoszącej władzy, razi wroga i trafia metodą *catch as catch can* w miejsca najbardziej czułe, zachwiewa pewność siebie potwora i prześladowcy, zagraża jego pozycji.

Tę podziemną walkę przegrał reżim w Niemczech z kretesem. Słabi i prześladowani nie lekceważą wprawdzie przeciwnika i prześladowcy, ale odbierają mu wszystkie znamiona wzniosłości, przekłuwają nadęte balony egzaltacji, zdzierają maskę uroczystej obłudy. Ten styl walki nie może być łatwy ani bronią tania, jeżeli ma odnieść skutki. Protest zdrowego ludzkiego sensu przeciw absurdom sytuacji, narzuconej przez chwilowych panów życia i śmierci przybiera formy już nie tylko groteskowe ale wręcz agresywne.

Istniała nieraz zapewne sroga i poważna konkurencja między dwiema szkołami humoru, między rządową i opozycyjną fabryką zabawnych złośliwości. I bodaj sama partia próbowała niektóre napięcia wewnętrzne rozładować tą właśnie drogą puszczania *witz'ów*, jak wówczas, kiedy Hess odleciał do Anglii, a w Niemczech opowiadano, że należy się spodziewać Churchilla, który z jasnego nieba spadnie nad Niemcami — jako represja!

Przeciwstawienie się grubym chwytom propagandy wojennej czyni jednak z dowcipów tę najniebezpieczniejszą propagandę opozycji szeptanej, tę reakcję nieuchwytną a wyzywającą, jaka się mieści w jednym błysku oczu, w wyrazie twarzy ni to prowokującym, ni to szyderczym. Na tej zasadzie opieraliśmy jeńcy w Niemczech naszą akcję demoralizacji wroga. Jednym trafnym skrótem, dobrym "powiedzonkiem," dobrym dowcipem robiło się więcej, niż to potrafiły zdziałać prasa i radio niemieckie — tylko w odwrotnym kierunku. Podnosiło się poza tym własnych ludzi na duchu. Dla przykładu niech mi wolno będzie zacytować typową odpowiedź jeńca, zapytanego przez Niemców co myśli o wojnie:

—Myślę, że ostatnie siedem lat tej wojny będą naprawdę bardzo ciężkie . . .

Ta odpowiedź, wystudiowana już naprzód, celowa i aplikowana na zimno, pogrążała naszych rozmówców w odrętwienie. Budzili się z niego dyskutując między sobą:

—Słyszeliście? Jeńcy mówią, że ostatnich siedem lat . . . Nie, to chyba szaleństwo. W takim razie wszyscy jesteśmy straceni.

Obserwowaliśmy ten efekt z uczuciem zadowolonej wyższości ludzi, którzy zrobili dobrą robotę.

Śliczna jest historia, urodzona w obozach jeńców o Hitlerze, który próbował doświadczyć i sprawdzić czy posłuszeństwo jego obywateli jest rzeczywiście zupełne. Przychodzi do fabryki i każe sobie przedstawić najlepszego robotnika.

—A gdybym ci kazał zastrzelić twoich towarzyszy pracy? Uczyń to dla twojego Führera!

Robotnik ociąga się trochę z odpowiedzią i zdradza poważne wątpliwości, jeżeli idzie o wykonanie takiego rozkazu.

—Skąd jesteście? — pyta Führer.

—Z Drezna.

—Oho, niedobrze — mówi Hitler w swoim otoczeniu. Ludzie z Drezna nie posiedli jeszcze tego stopnia posłuszeństwa, na jakim mogę opierać swoje panowanie. Trzeba tam zdwoić nacisk propagandy.

Inna fabryka, inny robotnik, to samo pytanie. Te same wątpliwości.

—Skąd jesteście?

—Z Hamburga.

Oho, niedobrze. Ludzie z Hamburga także jeszcze nie na wysokości. Musi się Goebbels do tego zabrać co prędzej.

Inna fabryka, inny robotnik, to samo pytanie, w formie rozkazującej. Ale reakcja jest inna, niż u poprzednich. Ani chwili wahania. Robotnik bierze rewolwer i kładzie trupem swych towarzyszy w warsztacie.

Aż zatknęło Führera to posłuszeństwo i pośpiech w wykonaniu. Otoczeniu swojemu daje gorliwca za przykład.

—A ty skąd jesteś? — pyta wreszcie.

—Z Paryża, dzielnica Ménilmontant, *monsieur*.

* * *

Niejeden jeniec wydostał się z Niemiec dzięki dobremu dowcipowi: ten, który na przykład "pożyczył" od swego pracodawcy pogrzebowy strój, czarny surdut z białym przodkiem i cylinder, a do tego dorobił sobie z gałęzi sosnowych wieniec i jechał z miną pogrzebową przez pół Niemiec, niezatrzymany i niezagadany przez nikogo.

Znam dwóch, z których młodszy przebrał się za dziewczynę i obaj /względnie oboje/ wywędrowali na wolność jako zakochana para narzeczonych, całująca się we wszystkich niebezpiecznych spotkaniach z policją, która w myśl oficjalnego przykazania dla młodych Niemców, aby się rozmnażali, ile mogą, nie próbowała przeszkadzać w tym, co, mówiąc językiem Kurkiewicza, uważała widocznie za swego rodzaju "krzątania przedpłcenne."

Kiedyś później antologia opowiadań o tym, jak się uciekało z niewoli stanowić będzie lekturę nie tylko pasjonującą jak romans policyjny, ale przede wszystkim także bardzo zabawną, choć ręczę za to, że w chwili próbowania tej sztuki nikomu z wykonawców nie chciało się naprawdę ani śmiać, ani nawet uśmiechać.

Zbiór dowcipów Warszawy o okupantach będzie kiedyś jednym z najbardziej ciekawych dokumentów walki z prześladowcą. To tak, jak komplet "Cyrulika Warszawskiego," który na pewno więcej zawiera istotnej prawdy życia z czasów naszej niepodległości, niż taki sam komplet oficjalnego "Monitora."

Osobną kartę w tej walce ma Paryż gdzie, transponując powiedzenie Beaumarchais o współczesnych mu czasach, które określił jako absolutyzm osłodzony piosenką, mówi się o Francji Lavala: państwo policyjne osłodzone bałaganem. Paryż dzisiejszy zapisuje się nadal objawami bardzo subtelnego oporu w stosunku do okupantów. Kpi sobie z nich po swojemu. Pomysłowość tych drobnych szczegółów i epizodów starcia jest iście paryska, w najlepszym naprawdę stylu.

Okno księgarskie na bulwarach. Dwa portrety, Hitler i Mussolini, na rogach wystawy. Pośrodku, luksusowe wydanie powieści Wiktora Hugo, świecące ogromnym złotym tytułem "Les Misérables." Nędznicy. Inne okno sklepu, który sprzedaje litografie portretów Lavala i Pétaina. Zapas się wyczerpał. Sklepikarz pod ostatnią podobizną Lavala wywiesił napis *vendu*, a pod Pétainem *épuisé*. Dwie interpretacje tego samego kupieckiego pojęcia "wyprzedane." I co tu takiemu zrobić?

W metrze paryskim, w momencie ofensywy rosyjskiej siedzi jakiś jegomość z rozłożoną płachtą jednego z popularnych dzienników paryskich. Na pierwszej stronie olbrzymimi literami tytuł: *Les cosaques sont à Varsovie*! Ta pierwsza strona, odwrócona do publiczności wywiera nie byle jaką sensację. Nikt oczywiście nie wyobraża sobie, że numer pochodzi z roku 1915! Z czasów poprzedniej wojny. Ten kawał przypomina stylem warszawski, śmielszy i bardziej bezczelny jego odpowiednik, ze słynnym już dziś wydaniem oficjalnego "Nowego Kuriera Warszawskiego," który przynosił wiadomość o przystąpieniu Hiszpanii do wojny. Piękny zaiste dokument w pięknej pracy polskiej prasy podziemnej, podrywającej autorytet wroga na każdym kroku.

Dowcip kolportowany przez cyganerię berlińską po rozmowie Hitlera z Pétainem w Montoire zaczynał się zapytaniem:

—Czy wiecie że Pétain mówi po niemiecku?

—Że niby co?

—A tak, kiedy po dłuższej rozmowie na tematy polityczne wniesiono do wagonu, w którym miało miejsce spotkanie, tacę z wspaniałym podwieczorkiem, Führer zapytał Pétaina: *Wollen Sie Kaffee oder Tee*? Kawy czy herbaty?

Pétain odpowiedział po niemiecku, że woli herbatę. "*Lieber Tee . . .*"

Patrioci francuscy powtarzają między sobą nieraz trzy powody, dla których Niemcy muszą przegrać wojnę, jest to ich zdaniem: 1/ Wytrwałość angielska, 2/ Zbrojenia amerykańskie i . . . 3/ Komedia Francuska. *La Comédie Française — textuellement.* W karkołomnej i groteskowej sytuacji w jakiej znalazła się Francja po podpisaniu zawieszenia broni, ma to określenie swój bardzo specjalny i być może nawet głęboki sens.

Natomiast ostatni kawał, który słyszałem w Niemczech, posiada dotąd żywą bardzo aktualność. Jest obrazem niecierpliwości, z jaką prości ludzie czekają na koniec tego wszystkiego, w co ich zapchały zwycięstwa Führera. W krajach okupowanych mówią o Niemcach, że jest to samolot, który zgubił podwozie i musi albo lecieć albo się roztrzaska.

A dykteryjka jest następująca. Przychodzi kobieta do Goeringa, żeby się dowiedzieć jak to będzie z tym końcem wojny. Goering pełen najlepszej myśli powiada, że już niebawem.

—Ale kiedy? — nalega kobiecina.

—To bardzo proste. Jak tylko Anglicy podniosą obie ręce do góry . . .

—Mój Boże — martwi się niepocieszona — jeżeli pomyślę, że nas, w Niemczech podniesienie jednej ręki kosztowało dziesięć lat czasu . . .

ALEKSANDER JANTA

3. sierpnia

/1918—1943/

"Z jakiegoś jest dywizjonu i z
jakiejkolwiek baterii —
Artylerzysto konny, Tyś brat
nasz—boś syn konnej artylerii."
Or-Ot.

Przed pomnikiem generała Józefa Bema w koszarach jego imienia w Warszawie defiluje jakieś dziwne wojsko: i w mundurach, i w ciemnych cywilnych garniturach, i starsi i młodzieńcy gołowąse, jedni mają czarno-szkarłatne proporczyki na kołnierzach mundurów, drudzy ciemnozielone lub inne patki.

Defilują dość składnie — a to jednak nie piechota, królowa broni, to sami oficerowie, od pułkownika do podporucznika. Każdy ma na lewej piersi krzyż maltański, a na nim orzełek, proporczyk i dwie skrzyżowane lufy złote — na ramionach daty: 1809 — 1918.

Po defiladzie czwórki się rozsypują, tworzą się grupki, rozbrzmiewają powitania, rozmowy, trzaskają siarczyście obcasy i dźwięczą ostrogi w ukłonach, czasem pochwa szabli trzepnie o cholewę buta.

Gen. Rómmel, Dunin-Wolski, Dembiński, Kryński, Łahiński, /nie ma już ś.p. Wąsowicza/, Kopański, Robakiewicz, Lechnicki, Popławski — i tylu, tylu innych, znanych, i mniej znanych w tym gronie. Któż ich policzy!

To rok 1938 — obchód dwudziestolecia artylerii konnej. Zjechali się konni artylerzyści z całej Polski, komu służba pozwoliła, na to święto, jak zjeżdża się kochająca rodzina — na jakąś wielką uroczystość rodzinną.

* * *

1918 — 1943. *W tym roku obchodzilibyśmy dwudziestopięciolecie konnej artylerii. Bóg chciał inaczej. Nie to jest istotne, że nie możemy zrobić tego obchodu. Istotne jest to, byśmy tu — wszyscy konni artylerzyści, czy nas jest tu pięciu, czy pięćdziesięciu — w dniu 3 sierpnia poświęcili bodaj krótką chwilkę myślom o naszej konno-artyleryjskiej rodzinie, o jej przeszłej chwale, o jej tradycjach.*

Złóżmy najwyższy hołd żołnierski tym, którzy polegli w tamtej wojnie i we wrześniu . . .

Oddajmy cześć tym, których marszałek Piłsudski odznaczył krzyżami "Virtuti Militari" na błoniach Góry Kalwarii w dniu 3 sierpnia 1921 — skąd wywodzi się nasze święto . . .

Zmówmy w skupieniu Wieczny Odpoczynek za tych, których śmierć zabrała z naszych szeregów w ciągu lat pokoju . . .

Prośmy Boga, by miał w Swej opiece tych, którzy cierpią w więzieniach i katorgach, by duch ich nie załamał się . . .

Polećmy myślą serdeczną ku tym, co w "Stalagach" i "Oflagach" czekają dnia wyzwolenia i dnia zapłaty: wznieście serca, koledzy, zbierzcie się w sobie — bliżej już jutrzenki, niż zmierzchu . . .

Prześlijmy pozdrowienia tym kolegom, którzy na Wschodzie, tak jak my, czekają rozkazu: maszerować! Przyjdzie ten dzień, kiedy uściśniemy sobie dłonie, kiedy drogi nasze spotkają się czy to w Poznaniu, czy w Warszawie, czy we Lwowie, czy w Wilnie . . .

Stoczek, Boremel, Ostrołęka, Warszawa . . . Wilno, Koziatyn, Komarów . . . Wrzesień, którego historia jeszcze nie napisana . . .

Oto szlaki naszej chwały . . .

...Przypomnijmy sobie życie naszej rodziny, gdy radowaliśmy się radością naszych kolegów, a smuciliśmy się ich smutkami, gdy każdy dywizjon był nam domem rodzinnym, gdy wszyscy znaliśmy jeden drugiego, bo łączyły nas jedne barwy i jedna odznaka, gdy wspieraliśmy naszych kolegów w nieszczęściu, jak brat wspiera brata. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, służba dla Ojczyzny i dla chwały naszej broni . . .

* * *

Srebrne trąbki z czarnoniebieskimi wstęgami naszych sławnych bateryj, gdziekolwiek są teraz ukryte, doczekają się dnia, gdy trębacz zagra na nich hasło naszej broni i zbiórkę. Zbierzemy się znów, staniemy przy działach, bateria za baterią, dywizjon za dywizjonem — aż znów ich będzie jedenaście, jak było ich jedenaście we wrześniu.

Nic to, że teraz w naszej artylerii nie ma baterii ani dywizjonów noszących nasze piękne barwy.

Nic to, że nasze imię zniknęło na razie z rozkazów dziennych i z dzisiejszego życia wojska.

Wiemy, że z historii wojska nic nas nie wymaże, bośmy przecie sami brali udział w zapisywaniu jej stron naszą krwią, naszymi trudami i naszą fantazją kawalerską.

Czuwajcie, konni artylerzyści, gdziekolwiek jesteście!

Czuwajcie i wypatrujcie jutrzenki, bądźcie gotowi na ten wielki dzień, który przyjdzie, bo przyjść musi, bo jest Bóg na niebie!

KONNY ARTYLERZYSTA

Rozmaitości wojskowe

"The Economist" z 24.7.43 zamieszcza ciekawe uwagi o sporze jaki powstał pomiędzy R.A.F. a R.C.A.F. /Royal Canadian Air Force/. Parlament kanadyjski na wniosek ministerstwa lotnictwa uchwalił przyznanie całemu latającemu personelowi R.C.A.F. stopni oficerskich. Według pierwotnej umowy o szkoleniu lotników *Commonwealth'u*, z lutego 1940 r. tylko 33% pilotów i obserwatorów o najwyższych kwalifikacjach i 20% radiotelegrafistów i strzelców miało dostać stopnie oficerskie. Kanada jednak uważa, że ponieważ standard wymaganej inteligencji jest bardzo wysoki, wszystkim lotnikom należy się stopień oficerski. W drodze ustępstwa zgodzono się na egzamin kwalifikacyjny. W praktyce okazało się, że wyniki tego egzaminu były w 80, 90 a nawet 100% dodatnie. Mimo to lotnicy kanadyjscy przydzieleni do R.A.F.'u tylko bardzo wolno i po długim czekaniu otrzymują stopień oficerski.

Spór jest wynikiem różnicy poglądów. Kanada stoi na stanowisku, że jej lotnicy są żołnierzami-obywatelami a nie zawodowcami. R.A.F. natomiast widzi konieczność stałego zawodowego lotnictwa wojskowego które wymaga większej rozpiętości stopni.

* * *

A. J. Cummings cytuje w *"News Chronicle"* następujące oświadczenie wypowiedziane do radia przez Sir Philipa Joubert. Wyliczono niedawno, że jeśliby Niemcy skoncentrowali całą siłę swych bombowców długo-dystansowych — włącznie z tymi które są na froncie rosyjskim — i gdyby tę siłę wysłano na jeden nalot, zrzuciłyby one mniejszy ładunek bomb niż uczyniły to nasze bombowce, stacjonowane w Anglii, w jednym 45-minutowym nalocie na Dortmund."

W 1939/40 wydawała się nam potęga niemiecka — nadęta ośmioletnim zbrojeniem się — olbrzymią. Wystarczyło czterech lat wojny aby porównując ówczesną potęgę niemiecką z obecną potęgą angielską /nie mówiąc o amerykańskiej/ zobaczyć owo przysłowiowe "dziecko którego oczy były większe niż żołądek."

* * *

Jest rzeczą znaną, że ważność spraw wzrasta lub maleje zależnie od tego czy jesteśmy nimi osobiście zainteresowani, czy są nam bliższe lub dalsze w czasie, w przestrzeni, w sercu. *"Gallup Poll"* przeprowadzony niedawno w Stanach Zjednoczonych i w Anglii na temat: "Które Państwo przyczyniło się dotąd najbardziej do wygrania wojny?" wykazał, że w Anglii 50% ludzi odpowiedziało — Rosja, 42% — Anglia, 5% — Chiny, 3% — U.S.A. W Stanach Zjednoczonych 55% odpowiedziało, że U.S.A., 32% — Rosja, 9% — Anglia, 4% — Chiny. Te cyfry nie są wynikiem ignorancji ale sprawą psychologicznie i propagandowo najzupełniej zrozumiałą.

Ilustracji powyższego nie trzeba szukać daleko. Ludzie w Anglii nie zdają sobie sprawy z zasięgu niebezpieczeństwa japońskiego. Nie rozumieją nawet obaw amerykańskich które przypisują machinacjom politycznym, "panikmacherstwu," izolacjonizmowi i t.d. Polacy przebywający w Anglii równie w tej sprawie grzeszą, zapominając, iż ma ona dla nas niesłychanie ważne, bezpośrednie znaczenie. Po wygranej z Niemcami, gdy przystąpi się do organizacji nowej Europy, nasi przyjaciele — Wielka Brytania i Stany Zjednoczone — będą wciąż jeszcze w wojnie z Japonią. A wojna ta jest groźniejszą niż się to na odległość wydaje.

Clark Lee, korespondent *Associated Press*, zamieścił w amerykańskim *"Collier's Magazine"* artykuł p.t. *"Japan has already won her war."* Cytuje on na wstępie słowa pewnego generała japońskiego który w 1939 r. powiedział: "Jesteśmy gotowi poświęcić 10.000.000 Japończyków. Ilu Amerykanów jesteście wy gotowi stracić?" — Japończycy uzyskali w obecnej wojnie wszystkie bazy strategiczne, które im były potrzebne za wyjątkiem Nowej Kaledonii. Panują nad Imperium o 3.250.000 mil kwadratowych i 300.000.000 ludności. Trzeba im tylko czasu dla wyzyskania swych nowonabytych bogactw. Czas ten mają dzięki decyzji Sprzymierzonych, aby w pierwszym rzędzie zlikwidować Niemców. Dziś mamy jeszcze szanse efektywnego zniszczenia Japonii bombardując, tak wrażliwe na ogień i zniszczenie, centra przemysłowe Japonii — Tokyo, Yokohamę, Nagoyę, Kobe, Osakę, Simonoseki i Moji. Za 6 miesięcy może być za późno, gdyż Japończycy — na wzór Niemiec i Rosji — rozpoczęli decentralizację i przenoszenie swego przemysłu na olbrzymią skalę. Japonia z dnia na dzień porasta w siłę. Wiadomym jest faktem, że conajmniej 26 statków japońskich przedarło się do Niemiec i z powrotem przez sieć blokady, przywożąc do Japonii maszyny niemieckie. Japonia produkuje obecnie 800 do 1000 samolotów miesięcznie. Broniąc uparcie wszystkich baz strategicznych — których setki zdobyli na Pacyfiku — mogą przeciągnąć wojnę długo, bardzo długo.

Strategia Sprzymierzonych oparta jest na przypuszczeniu, że Chiny mogą bez końca opierać się Japonii. To nie jest bynajmniej pewnikiem. Widzieliśmy jak większe, świeższe i lepiej wyposażone armie załamywały się w ciągu paru dni.

Powyższy opis amerykańskiego dziennikarza uzmysławia najlepiej, że istnieją dwie strony medalu. Koncentrując wszystkie nasze siły i myśli na zadaniu pobicia Niemiec, nie wolno nam jednak zamknąć oczu na drugą stronę medalu.

* * *

Inwazja Sycylii i zbliżająca się klęska Włoch, nasuwają bardzo poważne z punktu widzenia wojennego refleksje. Wojna współczesna przestała być wojną żołnierzy. Całe kraje stają nie tylko w pierwszej linii walki czynnej /aktywnie — we fabrykach, pasywnie — pod obstrzałem lotnictwa/ ale wola oporu kraju, jego "moral" wojenny stają się zasadniczą funkcją zwycięstwa. Krzykliwa i natrętna propaganda faszystów szermowała przed wojną na całym świecie argumentem, że "zgniłe demokracje" nie są w stanie oprzeć się we wojnie współczesnej państwom totalitarnym, które jedyne zdyscyplinowały swych obywateli i wyrobiły w nich hart ducha i pogardę śmierci, niezbędne do zwycięstwa. Jak uludne i fałszywe były te slogany widzimy na przykładzie Włoch. Ludność Włoch, jak zgodnie stwierdzają wszystkie raporty — zarówno korespondentów wojennych ze Sycylii jak korespondentów państw neutralnych z Rzymu — jest najzupełniej bierna wobec wojny. "Tę bezwładność, z której faszyści usiłują obecnie wyrwać naród, oni sami w narodzie stworzyli. Przez 20 lat zwykły obywatel był wykluczony z udziału w życiu publicznym. Brak zainteresowań politycznych uchodził za cnotę. Decyzje polityczne zależały od małej grupy rządzących ludzi . . . W godzinie kryzysu próżną jest rzeczą, szukanie inicjatywy u ludu, który od lat wychowywano do bierności." /*"The Economist"* 24.7.43/.

Nie są to rzeczy nowe. Należy je jednak jak najczęściej przypominać. Nie tylko armia współczesna jest armią obywatelską, armią indywidualnie szkolonych i myślących obywateli, ale cały naród powinien być tak wychowywany, aby umiał dojrzale, świadomie i inteligentnie myśleć. Bo tylko taki naród, który wie za co się bije, potrafi walczyć i ginąć jak żołnierz.

* * *

"Jednym z wielu faktów które wojnę obecną czynią różną od wszystkich poprzednich, jest olbrzymia maszyneria jaką stworzono dla jej rejestrowania. Nie tylko mnóstwo operatorów filmowych i wozów B.B.C. z wędrownymi mikrofonami znajduje się wszędzie, gdziekolwiek wydaje się bitwę lub gdzie lecą bomby, ale są i korespondenci wojenni, którzy mają znacznie większe uprawnienia i możliwości niż kiedykolwiek. Podstawowa myśl tej działalności jest prosta, choć kryje się często pod zwodliwymi nazwami . . Ma ona sprawić, aby wojna stała się wspólnym przeżyciem całego społeczeństwa; ma ona odtworzyć ze skomplikowanych i rozproszonych fragmentów wojny współczesnej to poczucie jedności, które było źródłem tak wielkiej siły małego miasta-państwa Aten 2000 lat temu."

Tymi słowami rozpoczyna John Lehman swój artykuł p.t. *"The Armoured Writer"* — o książkach wydanych przez angielskich korespondentów wojennych. /*New Writing and Daylight, Summer* 1943/. Ktoś powiedział mi, że to zdanie — ważne dla Anglii — nie dotyczy Polaków. Kto jak kto, ale my mamy owo poczucie jedności! Jedności w cierpieniu, jedności w klęsce, jedności w rozpaczy, jedności w biedzie. Czy mamy je rzeczywiście? Czy naprawdę wszyscy rozumiemy powody i implikacje naszej klęski, czy naprawdę wszyscy przeżywamy tę samą rozpacz i to samo cierpienie, czy bieda naszych bliskich — nawet najbliższych — jest naprawdę naszą biedą? A może przecież warto by było i dla nas "odtworzyć ze skomplikowanych i rozproszonych fragmentów wojny współczesnej to poczucie jedności które jest źródłem siły"?

Jak wygląda u nas sprawa "rejestracji" wojny? Kampania wrześniowa jest nagół dobrze opracowana. Jest książka Ksawerego Pruszyńskiego: Droga wiodła przez Narwik. Jest szereg reportaży, wspomnień z kampanii francuskiej. Jest parę doskonałych wspomnień z Tobruku, że wymienię Mieczysława Pruszyńskiego i Bogumiła Andrzejewskiego. Jest dobrze napisana ale niezbyt głęboka książka Arkadego Fiedlera o dywizjonie 303. Jest nadto bardzo wiele opowiadań lotniczych. Ale wszystkie te utwory mają jedną wspólną cechę. Są utworami żołnierzy, wspomnieniami żołnierzy a nie reportażami dziennikarzy. Żołnierz nawet najinteligentniejszy i najbardziej utalentowany nie widzi i nie może ogarnąć całokształtu działań wojennych. Choćby dlatego, że nie bywa dopuszczany tam wszędzie, gdzie dopuszcza się reportera i że nie ma czasu i sposobności na studiowanie problemów wojennych innych, niż te które jemu zostały przydzielone do wykonania. Jest on naprzód żołnierzem, a dopiero potem może być pisarzem. Rolę rejestrowania wojny odgrywają korespondenci wojenni: specjalnie do tego celu wybrani i szkoleni dziennikarze i pisarze. Niedawno stworzony dział korespondentów wojennych polskich przy wydziale kultury i oświaty M.O.N. zapełnił poważną lukę.

Nie powinni się jednak polscy korespondenci wojenni ograniczać do obserwacji polskich działań wojskowych. Byłoby to znowu tylko rejestracją fragmentu. Wojna obecna jest niepodzielna. Czy toczy się w fiordach Norwegii, na stokach Etny, czy pod niebem Berlina, Kolonii i Hamburga. Jak ważną i pasjonującą jest każda, najbardziej nawet egzotyczna jej forma, świadczy ekspedycja burmańska brygadiera Wingate. Polskiego reportera nie powinno nigdzie zabraknąć. Musi on widzieć tę wojnę wszędzie i opowiedzieć wszelkie jej perypetie. Braterstwo broni nie jest w wojnie obecnej tylko braterstwem żołnierzy ale także braterstwem ludów. Polacy w kraju będą chcieli i powinni poznać z pierwszej ręki przeżycia wojenne bratniego narodu angielskiego.

* * *

Uwadze pp. polskich cenzorów wojskowych poświęcam następującą notatkę z *"New York Times'a"*: "Pewien żołnierz amerykański posłał swej żonie z północnej Afryki list w którym pisał: "Załączam banknot 5 frankowy." Zapomniał jednak banknot ten załączyć. Mimo to pieniądze doszły do żony z kartką: "Prezent od cenzora!"

Vivant sequentes!

DOMINIK SZCZERBIC

Skrzynka pocztowa

Szanowny Panie Redaktorze,

Spekulacje na temat jak, kiedy i gdzie rozpocznie się wielka ofensywa sojusznicza na kontynent nie są ani rzeczą słuszną, ani pożyteczną, ale wręcz szkodliwą. Nie mniej jednak ofensywa ta już się rozpoczęła, wpierw w powietrzu, ostatnio na morzu i na lądzie. Ofensywa lotnicza skierowana przeciwko Niemcom w Europie rozpoczęła się dawno, rok temu przeszło olbrzymim nalotem na Kolonię. Od tego czasu naloty stawały się coraz częstsze, dziś są rzeczą niemal codzienną. Wzrósł ciężar i ilość bomb zrzuconych na terytorium Niemiec i okupowanej przez Niemców Europy. Wzrosła też i to poważnie ilość samolotów polskich, biorących udział w tych nalotach.

W ciągu tego roku, jeżeli można by użyć porównania z poprzedniej wojny, ofensywa lotnicza miała charakter bombardowań przeciwartyleryjskich. Naloty miały na celu niszczenie dalekonośnej artylerii nieprzyjaciela, której miejsce zajmują dzisiaj fabryki broni, sprzętu i amunicji oraz komunikacje, dowożące sprzęt ten na linię frontu. Ostatnio w coraz większym stopniu naloty lotnicze upodobniają się do bombardowań artyleryjskich, które poprzedzały każdy atak w tamtej wojnie. Im bardziej skuteczne są te naloty, tym słabszy będzie opór nieprzyjaciela, kiedy uderzy piechota i czołgi.

Nie wiemy jak się wojna potoczy, gdy wojska alianckie wylądują na kontynencie. Może skutek nalotów będzie tak wielki, a demoralizacja tak powszechna, że wystarczy jedynie zaadministrować *coup de grace*, aby przywrócić porządek? Należy jednak przypuszczać, że zwycięstwo tak łatwo nie przyjdzie; czekają nas jeszcze ciężkie i długie zmagania. Z pewnością jednak wiemy to, że wojsko polskie będzie wśród tych, którzy walczyć będą na kontynencie i że będzie walczyć w pierwszym szeregu.

Byliśmy pierwsi którzy stanęli do walki z barbarzyństwem niemieckim we wrześniu 1939 roku. Od tego czasu wojna trwa. Nowe bitwy rozgrywają się w powietrzu, na morzu i lądzie. Szpalty dzienników zalewa z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień świeża nawałnica bijących w oczy tytułów i ilustracji. Przy obecnym tempie życia wydarzenia minione zacierają się szybko w umysłach ludzkich. Dyskusja, jaka niedawno toczyła się na łamach prowincjonalnej gazety szkockiej *"Dundee Courier and Advertiser"* jest dla nas może najbardziej pożytecznym głosem ostrzegawczym od czasu lądowania na ziemi brytyjskiej. Bezsprzecznie czasu spędzonego na wyspach brytyjskich nie zmarnowaliśmy, wyszkoliliśmy się w używaniu nowej broni i sprzętu, zreorganizowaliśmy i uzupełnili nasze szeregi. Jesteśmy dzisiaj wojskiem wyborowym, ale sprawę propagandy t.j. uświadamiania społeczeństwa brytyjskiego o naszym wysiłku wojennym przegraliśmy. Przegraliśmy może honorowo, bo teren brytyjski jest niezwykle trudny, a mimo to zdziałaliśmy dość dużo, ale fakt pozostaje, że nie wykorzystaliśmy wszystkich możliwości i nie wyzyskaliśmy wszystkich atutów.

Wkład nasz do wspólnej walki z wrogiem jest najbardziej krwawy i ofiarny. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że i w nadchodzącej walce wkład nasz będzie duży, bardzo duży. Ten atut musi być przez nas wykorzystany w pełni, gdyż znaczenie jego jest bardzo istotne dla całości sprawy polskiej. W miarę zbliżania się końca wojny, działania wojskowe coraz silniej oddziaływać będą na zagadnienia polityczne. Im więcej będą Anglicy i Szkoci wiedzieć o naszym wysiłku wojskowym, tym bardziej będzie to dla nas pożyteczne.

W tym wypadku mamy też wdzięczne pole do popisu. Nawiązaliśmy liczne kontakty ze społeczeństwem brytyjskim, wzbudziliśmy w nim zainteresowanie dla naszych spraw i nadziei. Jesteśmy na ogół lubiani, wiele miast szkockich adoptowało nasze oddziały i ufundowało dla nich sztandary. Anglicy i Szkoci będą ciekawi, jak "ich wojsko" się spisuje. Będą chciwi wiadomości i my ich będziemy musieli dostarczyć. Niewątpliwie prasa brytyjska, która przychylnie odnosi do spraw polskich, zamieszczać będzie wiadomości o walkach wojsk polskich, a może nawet znajdą się specjalni korespondenci przy armii polskiej. Ale na to zdać się nie możemy. Rola korespondentów w pismach brytyjskich jest mocno ograniczona. Niejednokrotnie już wyczerpana. Poza tym dla korespondenta nieznajomość języka, tradycji i ducha wojska, z jakim idzie do akcji są niepożądanymi handicapami. Dlatego też jest bardzo dużo miejsca dla inicjatywy polskiej, która jeżeli by spotkała się ze zrozumieniem okazać się może bardzo owocną.

Przykładów jak należy organizować służbę prasową w armii można podawać wiele. Anglicy, Amerykanie, Rosjanie i Niemcy mają wiele doświadczenia pod tym względem, które z łatwością moglibyśmy wykorzystać. Drużyna prasowa składająca się z dwóch lub trzech ludzi, uzbrojona w aparat fotograficzny i maszynę do pisania może odnieść zwycięstwa na polu propagandy równe zwycięstwom odnoszonym na polu bitwy.

Opowiadania, korespondencje, reportaże — pole do popisu jest duże, a chłonność rynku brytyjskiego / a szczególnie prasy prowincjonalnej, którą najbardziej zaniedbaliśmy/ i amerykańskiego jest olbrzymia. Oczywiście, aby jak najlepiej wykorzystać rynek brytyjski i amerykański należało by się przystosować do jego potrzeb i wymagań.

Rozwiązanie sprawy przez utworzenie drużyn informacyjnoprasowych i akredytowanie specjalnych polskich korespondentów wojennych* zostałoby powitane przez prasę brytyjską i amerykańską z najwyższym zadowoleniem. Ja sam wiem o wielkim reprezentującym ponad sto czasopism koncernie angielskim, który z chęcią skorzystałby z możliwości, aby mieć polskiego korespondenta wojennego.

* * *

Mamy jeszcze dosyć czasu, nim ruszymy do akcji i plan taki mógłby być opracowany dokładnie. Polegać na improwizacji nie możemy i powinniśmy zrobić wszystko abyśmy kampanię inwazyjną wygrali nie tylko w polu /co jest rzeczą pewną/, ale i na terenie brytyjskim.

Seweryn Pomeranc

*Niedawno powołano do życia instytucję korespondentów wojennych w Polskich Siłach Zbrojnych /przyp. red./.

Ś. P.
Dnia 14 lipca 1943, zmarł po długich cierpieniach w Szpitalu Wojennym Nr. 1.
ARTUR SOCHA
ppor. rez. i artysta Teatru Narodowego w Warszawie i został pochowany na cmentarzu polskim w Perth
o czem zawiadamia
Związek Artystów Scen Polskich
Gniazdo Londyn.

LIST Z KANADY

Szanowny Panie Redaktorze,

Pismo redagowane przez Szanownego Pana zamieszczało uprzednio kilkakrotnie adresy od naszych Rodaków z U.S.A. Skorzystałem z jednych z tych adresów i napisałem. Oczywiście odpisano mi na ten list, ale oprócz tego otrzymałem o wiele więcej listów od osób w ogóle mi nieznanych, lecz życzliwych.

Załączam list pisany do mnie również przez osobę mi dotychczas nieznaną. Załączam dlatego ten list, ażeby Szanowny Pan umieścił pozdrowienia dla polskich żołnierzy przesłane przez Panią Gertrudę Bukowską.

Z poważaniem

Henryk Bucia

Szanowny Rodaku,

Na ogłoszenie prośby w "Dzienniku dla wszystkich" pewnej pani, ażeby samotnym żołnierzom uprzyjemnić ich chwile pobytu zdala od swoich rodzin, Jako Polka czuję się w obowiązku napisać do Rodaka.

Przybyłam do Kanady w roku 1937. z woj. Lubelskiego pow. Hrubieszów. Teraz zamieszkuję w Hamilton i obecnie pracuję w fabryce, jako operatorka windy. Jeżeli, Szanowny Rodaku, chcesz jakich wiadomości, to Ci w następnej korespondencji napiszę. To, co Cię najbardziej interesuje a ze szczerą chęcią, to uczynię, gdyż temu, który walczy w obronie naszej drogiej Ojczyzny, chciałabym ze szczerego serca uprzyjemnić jego chwile na obczyźnie, choć pomiędzy naszymi przyjaciółmi.

Zasyłam przez usta Szanownego Rodaka dla wszystkich Rodaków całej Armii Polskiej życzenia, aby Bóg sprawił, żeby wasz trud był zakończony zniszczeniem podłego wroga.

Prosiłabym Szanownego Rodaka, ażeby mnie odpisał i opisał, jak się podoba Rodakowi Szkocja i w ogóle, jak tam jest. Więcej tak nie mam, co do pisania.

Życzę Szanownemu Rodakowi pomyślnego powodzenia

Szczerze życzliwa

Gertruda Bukowska

mój adres jest: 24, Gerrard Street, Hamilton, Ont., Canada.

Polski Czerwony Krzyż jest w posiadaniu listów lub wiadomości z ZSRR i Iranu, które nie mogą być doręczone odbiorcom z braku adresu.

Uprasza się o podanie adresów, lub posiadanych informacji o poszukiwanych osobach do P.C.K., Wydział dla Spraw Polaków w ZSRR, 34, Belgrave Square, London, S.W.1, powołując się na datę lub numer "Polski Walczącej."

DEPESZE Z ZSRR

dla WARSZAWSKI Stanisław od Zawadowski.

LISTY Z ROSJI

dla ANTOSZEWICZ Jerzy od Nowotna Urszula, dla BANSZEL Karol od Rotbart Henryk-Jan, dla PRZEWŁOCKI Bronisław od Procik Stefania, dla ZAJDEL Władysław od Zajdel Jan.

WIADOMOŚCI Z IRANU

dla KACZKOWSKI Kazimierz od Tomczycka Maria, Ewa, Irena i Jan, dla SOŁOWIEJ od Niemira Molis, dla TRELA Andrzej od Trela Stefania, dla WOŹNIAK Leon od Woźniak Wincenty.

LISTY Z IRANU

dla ADAMSKI Henryk od Adamska Stanisława, dla CHODOROWSKI Bogdan od Chodorowska Petronela, dla CZAPNIK Hieronim od Czapnik Waleria, dla MOGILNICKI Stefan od Kopeć Tadeusz, dla SAWICZ Czesław od Sawicz Paulina, dla SPOLSKI Eugeniusz od Spolska Zofia, dla SZYMAŃSKI Edward od Szymańska Weronika, dla ŻAK Władysław od Snuszko Pelagia, dla WIERZBIAŃSKI Eugeniusz syn Emila i Józefy od Wierzbiańska Helena.

WIADOMOŚCI Z AFRYKI

dla DZIENGIELEWICZ Wacław od Dziengielewicz Katarzyna.

Celem umożliwienia bezzwłocznego przekazywania wiadomości i korespondencji nadchodzącej z ZSRR i Iranu uprasza się wszystkich o rejestrowanie się w P.C.K. przez podanie: pełnego imienia i nazwiska, ewentualnego stopnia wojskowego, daty urodzenia i dokładnego adresu oraz zgłaszania w P.C.K. wszelkich zmian swego adresu.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £9,468

Starszy szeregowiec K.Z.S.—z powodu spóźnienia się z wpłaceniem składki na wieniec na trumnę ś.p. Gen. Sikorskiego — składa na rzecz pomocy Polakom w Rosji sh.5.

Polski Senior Officer

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Zamiast wieńca na grób ś.p. Naczelnego Wodza Gen. Broni Władysława Sikorskiego oficerowie Oddziału Zbornego . . . składają sumę funtów 30 /słownie trzydzieści funtów/ na pomoc dla małoletnich sierot wywiezionych z Z.S.R.R.

Z poważaniem

Dowódca Oddziału Zbornego P.W.

* * *

Dla uczczenia pamięci poległego Naczelnego Wodza, Gen. Broni Władysława Sikorskiego na sieroty polskie wyewakuowane z Rosji do Afryki, ofiarowuje Mrs. A. J. Burns, Szkocja, Falkirk, 19, Arnothill 1 /jedną/ gwineję.

* * *

W załączeniu przesyłam Postal Order na £2 sh.6 d.6 zebraną przez Rodzinę Wojskową w Kirkaldy, zamiast kwiatów na trumnę gen. Sikorskiego, którą to sumę przeznaczamy na pomoc dzieciom polskim w Rosji.

Opiekunka Ośrodka R.W.
Marta Suzin

* * *

Dziękując za nadesłane mi numery /5/ "P.W." wpłacam należność załączonymi znaczkami sh. 1 + porto, razem sh.1 d.½.

Z poważaniem

Kpt. St.M.

* * *

The Editor, "Fighting Poland," 5, Portugal St., London, W.C.2.

Dear Sir,

At the suggestion of Mr. Paweł Miller, I have pleasure in sending you herewith a cheque for £46.3.0 for the Polish Red Cross /Polish Civilians in Russia Fund/.

This was collected during the Exhibition of Polish Photographs entitled "Through Polish Eyes," which has been on view in the Cheltenham Art Gallery from July 12th to 28th.

Yours faithfully,

D. W. Herdman
Curator

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £9 sh.17 zebrane przy wypłacie żołdu w Pułku Przeciwpancernym — na pomoc Polakom w Rosji.

O.T. wachm.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £89.13.6½ /słownie funtów osiemdziesiąt dziewięć, trzynaście szylingów, sześć i pół pensa/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £9,468.0.6½ /słownie dziewięć tysięcy czterysta sześćdziesiąt osiem funtów, sześć i pół pensa/ 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich i 15 czerwieńców.

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Redakcja "Polski Walczącej,"

Zamiast kwiatów na trumny ś.p. gen. bryg. Klimeckiego, płk. dypl. Mareckiego i por. mar. Ponikiewskiego — Naczelny Wódz składa kwotę £20.0.0 /dwadzieścia funtów ang./ na jeńców polskich w niemieckich obozach.

Szef Gabinetu Naczelnego Wodza i Ministra Obrony Narodowej ppłk. dypl. B.

* * *

W podziękowaniu ks. dr. Gołębiewskiemu za Mszę Św. odprawioną na intencję mojej żony Zofii, ofiaruję w myśl jego życzenia £1.0.0 na pomoc jeńcom w Niemczech.

Kpt. W.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £21 /słownie dwadzieścia jeden funtów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £525.15.10 /słownie pięćset dwadzieścia pięć funtów, piętnaście szylingów i dziesięć pensów/.

Ukazał się Nr. 34 "Poradnika dla pracowników świetlic żołnierskich," wydawnictwa Polskiej YMCA w Wielkiej Brytanii.

Na treść numeru składają się artykuły i wiersze następujących autorów: Siedleckiego, Bujaka, Chrzanowskiego, Majkowskiego, Stelmachowskiej, Konopnickiej, Zaruskiego, Zahradnika i t.d. Numer zawiera materiał ilustrujący w prozie, poezji, fotografiach i rysunku zagadnienia Polskiego Morza oraz Ziemi Kaszubskiej, jej ludu i sztuki.

W związku z rocznicą Kopernikowską, część numeru poświęcono uczczeniu pamięci wielkiego Syna Ziemi Pomorskiej.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

W załączeniu przesyłam książki z prośbą o przesłanie ich na Środkowy Wschód do użytku kolegów.

Spis załączonych książek: H. Sienkiewicz: "Ta trzecia." E. Ligocki: "Złota chorągiew." St. Ordon: "Łuna nad Warszawą." B. Leitgeber: "Londyn, oblicze i maska." W. Sobieski: "Historia Polski." /2 egz./. S. Żeromski: "Wierna rzeka." "1000 słów po angielsku." M. Johnson: "Congorilla." T. Kiełpiński: "Ku jakiej Polsce idziemy?" J. Pomian: "Rzeczpospolita." "Scots in old Poland." "Ekonomista polski." A. Błoński: "Wracamy nad Odrę." B. Wdały: "Niemcy o Polsce."

* * *

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 2144 książki.

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



Dnia pewnego w koszarach
Zakończono sprzątanie

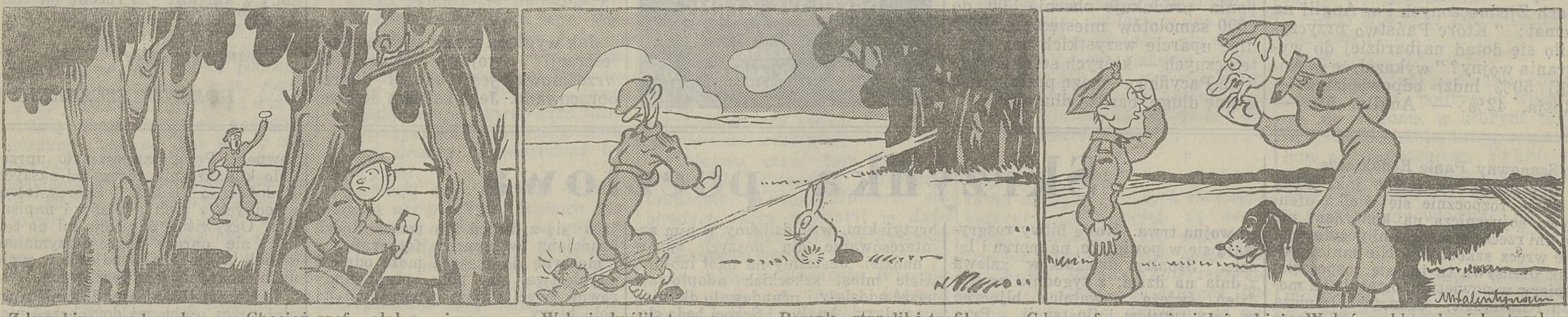
I kompania ruszyła
Ćwiczyć ostre strzelanie.

Na strzelnicy, wiadomo,
Chociaż deszcz był i błoto,

Każdy strzelał, jak umiał
Rączo, żwawo, z ochotą.

Pan szef Gruszka to sprawdzał.
Złe notował wyniki,

A Walenty, ukradkiem,
Poszedł strzelać króliki.



Z karabinem pod pachą
Szybko zaszył się w lesie,

Chociaż szef wołał za nim:
Gdzie was diabeł znów niesie?!

W lesie królik tuczony
Nagle wybiegł na dróżkę,

Pompka strzelił i trafił . . .
Prosto w bucik p. Gruszkę.

Gdy szef w mowie żołnierskiej
Szereg uwag wygłosił

Waluś rzekł: człowiek strzela,
Pan Bóg kule zaś nosi . . .

KOMUNIKAT

Society of Scottish Artists zaprasza polskich artystów do wzięcia udziału w wystawie malarstwa, rysunków, rzeźby i architektury, urządzanej w Royal Scottish Academy Galleries — Edynburg — w czasie od 9 października do 15 listopada r.b.

Termin nadsyłania prac upływa w dniu 22 września b.r.

Jak się dowiadujemy w wystawie tej liczny udział wezmą polscy artyści żołnierze odbywający obecnie czynną służbę wojskową w jednostkach polskich na Wyspach Brytyjskich.

SPIS RZECZY:

POSZUKIWANIA

Karolina SIENKIEWICZ, poszukuje swego męża Ludwika.

* * *

Kazimiera MARZEC poszukuje męża Mariana, b. policjanta, który był internowany na Litwie, później wywieziony do Rosji. Ostatnia wiadomość z obozu w Rosji w maju 41 r. Wiadomości proszę przesłać do: Kondoa, Irangi Camp, Tanganyika Territory, East Africa.

Maria ze SKIRTUNÓW SIENKIEWICZOWA z Waranowej k. Lidy poszukuje swego męża Władysława.

* * *

LEON JERZY KRZYWICKI i ZBYSZEK BILLEWICZ, którzy byli wywiezieni jako jeńcy wojenni do Rosji, są poszukiwani. Wszelkie informacje o nich prosimy nadsyłać do Administracji "P.W." pod "Inż. A.K."

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

KOMUNIKAT

Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej podaje do wiadomości, że staraniem British Council zostanie we wrześniu 1943 r. uruchomiony 6-miesięczny Kurs Opieki nad Dzieckiem. Kurs ma na celu przygotowanie pewnej liczby obywatelek państw sprzymierzonych do pracy nad dzieckiem w związku z potrzebami powojennymi. Poza tym kurs wskaże podstawy organizacyjne opieki nad dzieckiem.

Program kursu przewiduje wykłady teoretyczne w języku angielskim prowadzone przez wybitnych [illegible] ców zagadnień dziecka w W. Brytanii. Będą one uzupełnione [illegible] mi praktycznymi poświęcone [illegible] znaniu organizacji i dzi[illegible] tyjskich zakładów opieki nad [illegible] kiem oraz praktykami w poszcz[illegible] nych zakładach w Londynie i po[illegible] Londynem. Opłata za kurs wyniesie £20.

Zgłoszenia na kurs do dnia 1 sierpnia 1943 r. przymuje Dział Rekonstrucji Socjalnej M.P. i O.S. /62/64, Brook Street, London, W.1./ za nadesłaniem własnoręcznie napisanego zgłoszenia o przyjęcie na kurs; do zgłoszeń należy dołączyć życiorys z zaznaczeniem wieku, wykształcenia ogólnego i zawodowego, oraz przebiegu pracy zawodowej i społecznej.

Pewnej liczbie kandydatek M.P. i O.S. udzieli stypendium na pokrycie kosztów przejazdów i utrzymania oraz opłat za kurs. Kandydatki ubiegające się o stypendium winny dołączyć podanie.